

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 29 PAŹDZIERNIKA 1927 ROKU

NR 44

TREŚĆ NUMERU: Dusza, charakter i prace ś. p. Marjana Dubieckiego — *Dr. Mieczysław Offmański*. Ze wspomnień o Marjanie Dubieckim — *Stefan Pomarański*. Wiersz: „Zaduszki” — *Felicja Kruszevska*. Księżna Łowicka (c. d.) — *Adam Czarłkowski*. Koszula Dejaniry (nowela) dok. — *Herminja Naglerowa (J - a Stycz.)* Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Kobieta w świecie i w domu — *N. J. i R. C. H.* Z wydawnictw. Coś niecoś o gentlemanach warszawskich i anglosaskich (dok.) — *Hanna Skarbek*. Skórki królików i ich wyprawianie — *M. Trybulski*. Hodowla winogron (dok.) — *Zofja Łempicka*. Książka o róży — *H. T.* Jak wywabiać i czyścić plamy — *J. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: *Casaques — Well*. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring*. — autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

DUSZA, CHARAKTER I PRACE Ś. P. MARJANA DUBIECKIEGO

Młodzieńcem będąc, poznałem Marjana Dubieckiego w Krakowie, dokąd, pod koniec ubiegłego stulecia, udałem się na studia uniwersyteckie. Przyjaźń i prace przedpowstaniowe łączyły wuja mojego, dziś już nieżyjącego, Stanisława Krzemińskiego, — członka Rządu Narodowego z 1863 r. i długoletniego współredaktora „Bluszczu”, — z ś. p. Marjanem Dubieckim i utorowały mi drogę do wejścia w dom jego, poznanie tego wielkiego, acz skromnego człowieka. Nawiązane stosunki z biegiem lat się wzmocniły, i szczęśliwym się czuję, że do grobowej deski ś. p. Marjan Dubiecki zaszczycał mnie i cały mój dom przyjaźnią i zaufaniem.

Teraz, kiedy mam ku uczczeniu jego pamięci napisać krótki, niestety, artykuł, sięgam do bogatej skarbnicy rozmów i listów nieboszczyka, pisanych do mnie, bo z nich promienieje cały człowiek, jako mąż stanu i polityk, doświadczeniem życiowym bogaty, obywatel nieskalany, kochający Polskę z jej wiarą, obyczajem, i pisarz sumienny, oświecający, prostujący błędy, zachęcający do czynu piórem, słowem i przykładem.

Ś. p. Marjan Dubiecki był zdeklarowanym wrogiem Rosji, nie wierzył jej obietnicom, potępiał wszel-

ką „ugodowość”; takiego był wyznania do czasu powstania najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej, a potem na platformie „wolni z wolnymi” zalecał w stosunku z nią ostrożność.

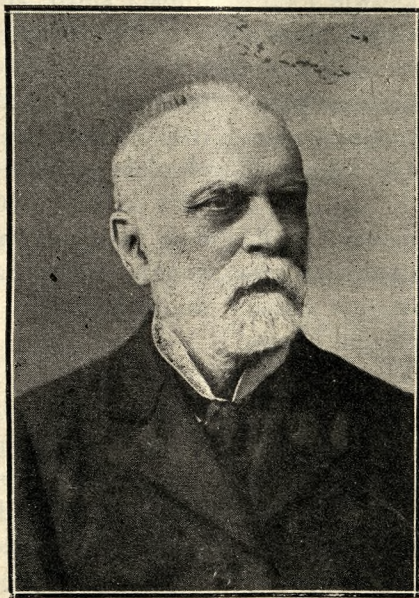
W liście z lutego 1920 r. znajduję ustęp następujący:

...„co doktor pisze w swych zapatrywaniach na Rosję, najzupełniej podzielam i pragnę, by to przekonanie wdrożono w młodsze pokolenia. Brak znajomości dziejów przy czyną, że u nas tego nie rozumieją, czym jest Rosja. Poza kwestjami politycznymi, są niebezpieczeństwa moralne wielkie: to wielki organizm w rozkładzie, niosący zakażenie nieuniknione. Czyż tego u nas nie rozumieją?”

W gwarancję i traktaty Rosji wierzyć nie można, chyba, że na straży ich czuwać będzie gotowość bojowa Polski. Polityka rosyjska jest podstępna, i pod tym względem Ro-

sja obecna nie różni się od przedwojennej. Przypominam sobie rozmowę, na ten temat prowadzoną ze ś. p. Marjanem Dubieckim pod koniec 1915 r.; pamiętam ją dokładnie, bo przyszedłszy do domu, treść jej zanotowałem, a teraz sięgam, jako po dokument w tej ważnej kwestji.

— Koło 1872 r. — mówił Dubiecki — mieszkał



Marjan Dubiecki

w Krakowie ks. Smoczyński, dr. teologii, b. słuchacz Akademii Duchownej w Warszawie, który wyjechał z Królestwa bez pozwolenia rządu rosyjskiego. Rodzice jego zostali w Warszawie. Ksiądz ten był pośrednikiem pomiędzy duchowieństwem Królestwa, a Rzymem, poza plecami Petersburga, rząd rosyjski bowiem nie pozwalał na bezpośrednie znoszenie się z Watykanem. Dowiedziawszy się o tem, carat postanowił ks. Smoczyńskiego ściągnąć do Warszawy. W tym celu jakiś jegomość zaznajomił się z rodzicami księdza Smoczyńskiego i zaczął bywać w ich domu, a widząc strapienie matki, tęskniacej do syna, podsunął myśl, że po tylu latach syn uzyska możność powrotu, należy tylko podać prośbę do namiestnika Berga.

— Istotnie, podanie przychylnie załatwione zostało, i paszport drogą urzędową wysłano ks. Smoczyńskiemu do Krakowa. Otrzymawszy bezpośrednio od rządu legalny dokument, ks. Smoczyński, nie podejrzewając nic złego, mieszkanie zwinął i przeniósł się do Warszawy.

— Przez granicę przejechał szczęśliwie, w Warszawie jednak, o świcie, dom, w którym zamieszkał u rodziców, obstawiony został żandarmami, mieszkanie zrewidowano, a chociaż nic podejrzanego nie znaleziono, odstawiono ks. S. do cytadeli. Siedział tam kilka miesięcy, poczem drogą administracyjną wysłany został do gub. Kostromskiej. Uwolniony dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, wyjechał zagranicę bez możności powrotu. Ks. Smoczyński był potem proboszczem w Krakowie i tam umarł. Oto przykład—kończył Dubiecki—jak można wierzyć Rosji i jej gwarancjom.

W lipcu 1920 r. pisał do mnie obszernie na czterech stronicach, przejęty do głębi przeżyciami i obawą o byt Tej, której przez całe życie służył i dla której cierpiał.

„Żyjemy wśród trosk różnych, osobistych i ogólnych“ (były to czasy kiedy bolszewicy znajdowali się w Królestwie, szli pod Warszawę). „Te ostatnie coraz cięższe; tem cięższe dla mnie, iż optymizmu wcale nie posiadam, a do smutnych przewidywań coraz więcej pobudek.“

„Gdyby u nas więcej przeszłość, bodaj tylko porzobiorową, bodaj rok 1831 studjowano i chciano z przeszłości brać wskazówki, znalazłby się ktoś, biorący w mocną dłoń ster tej kruchej łodzi. Brakowało tego w 1831 r., brakuje i dziś, niestety. Zresztą, u nas inaczej pod wielu względami, niż gdzieindziej. I w innych krajach są, na przykład, socjaliści, ale nie spiskują przeciw własnej ojczyźnie; u nas są awangarda bolszewików, u nas inaczej... Cała nadzieja w tych zarodkach wytrzymałości narodu, który, przeszedłszy piekło niewoli, nie zginął wszakże. Może i teraz od ponownych rozbiórów zdoła się uchronić, lecz nie dojdzie do potęgi, do której dojśćby mógł.“

Cud nad Wisłą, bohaterski czyn ks. Skorupki i młodzieży polskiej rozpromienił duszę patrioty narodowe-

go; nie na długo, jednak, bo mieszkając w Krakowie, był później niemy świadkiem śmierci ułanów polskich z rąk zbałamuconego ludu; bo przeżył wysadzenie prochowni w cytadeli warszawskiej przez komunistów polskich; bo doczekał się bratobójczej walki na ulicach stolicy. Żaden już potem fakt dziejowy nie rozgodził posępnych myśli Starca, który w pięć miesięcy później życia dokonał (d. 24 paźdz. 1926 r.).

Ś. p. Marjan Dubiecki był nieskalanym obywatelem, to wyczuwało się w każdym drgnieniu serca, w każdej myśli, dotyczącej Polski i jej spraw.

Po wielu latach powróciwszy z wygnania i Syberji, kiedy zaaklimatyzował się w Krakowie i otrzymał obywatelstwo austriackie, wakacje 1901 r. spędził w stronach rodzinnych na Wołyniu i jakieś dni niedługie na Ukrainie.—„Miałem możność przypatrzenia się“—pisze—„jak tam ludzie, pogodzeni z losem, gubią sami siebie“. Wrażenia dziwnie smutne stamtąd wyniosłem i te wrażenia, jak cierń, nieustannie jątrzą rany mej duszy“.

„Byliśmy przez dni kilka w Warszawie, i tam nie lepiej. Pobyt w Warszawie działa na mnie nadzwyczaj dobrze, bodaj chwilowy; mam do tego miasta synowskie przywiązanie, chociaż nie jest to moje miejsce rodzinne. Wszystko jednak, co w tem mieście zewnątrz nie uderza, drażni i smutkiem napełnia“.—Ma na myśli: kopuły, cerkwie, dwujęzyczność szyldów, język rosyjski, mundury; to wszystko, co było zewnętrznym nalotem rosyjskości, a co przy pierwszej sposobności starte zostało i spłynęło, jak woda deszczowa.

W jednym z ostatnich obszerniejszych listów, a było to w roku 1920, bo później słał już tylko karty, pisał: „Przydłużył mi Bóg życia nad miarę, iż widzę nadmierny cud Opatrzności, owo nasze na Zachodzie wskreszenie. Ze starym Długoszem, który przy końcu 1466 r. pisał, iż wbrew grzechom naszym Bóg nam pozwala odzyskać Powiśle Dolne, — mówię codziennie w dziękczynnym pacierzu, żeśmy tego cudu niegodni“.

Tak pisał, takimi sprawami interesował się, tak czuł człowiek, który sam o sobie mówił, że zbyt go przytłacza i pióro tępi dziewiąty dziesiątek lat. Żywotność umysłu, gorącość serca były jednak wielkie.

Marjan Dubiecki był pisarzem sumiennym. Mało działaczy i ludzi pióra, mimo sędziwego wieku, poszczycić się może, że, umierając, zostawili bilans prac swoich zamknięty i w porządku. Do takich wyjątków należy ś. p. Marjan Dubiecki.

Wzorowy katolik, prawy polak i obywatel w każdej fazie swojego życia, troskliwy mąż i ojciec,—troszczył się też, aby praca całego żywota, dorobek duchowy,—bo takim tylko rozporządzał,—nie poszedł na marne, nie utonął w masie niedokończonych rękopisów, notat i szkiców.

O przedsięwzięciach Dubieckiego nie można wyrazić się „mierz siły na zamiary“, bo co zamierzył—dokonał, nie pozostawiając nic niedokończonego,

w urwkach lub materiałach. Wydał wszystko. Skrupulatnie zebrał liczny plon większych prac swoich i umieścił w książkowym wydaniu.

Już w 1909 r., myśląc o szybkim odejściu, pisał: „staram się różne zaległości uregulować; a więc wychodzą 2 moje książki: jedna przed kilku dniami wyszła już, druga za jakie 5, 6 tygodni opuści prasę. Ta, co wyszła,—mały, a bardzo ubogi pomnik dla pokoleń, z którymi wchodziło się ongi na pole życia,—nosi tytuł: „Młodzież Polska w Uniwersytecie Kijowskim, przed r. 1863“. Kijów, 1909 r. nakładem księgarni Leona Idzikowskiego — z rycinami.

Druga, znacznie obszerniejsza, ma tytuł, „Z Przeszłości“ (1861 — 62), ma zawierać: Zjazd Horodelski (1861) i moje pierwsze wygnanie (1861 — 62). Też Idzikowski w Kijowie wydaje“.

Jedną z ostatnich prac książkowych ś. p. Marjana Dubieckiego, autora jedynej monografii o Traugucie, były „Echa z Opowiadania Styczniewego“, wydane w 1922 r. (Zamość, nakład Z. Pomarańskiego).

Jest tam szereg szkiców, a pomiędzy nimi ciekawe szczegóły, dotyczące: zawiązku polskiej floty w powstaniu styczniowym, o której mało kto słyszał; udział kobiet polskich w powstaniu styczniowym; charakterystyka Traugutta, osnuta na poufnych listach Stanisława Krzezińskiego, działacza z 1863 r., mówiąca wiele o tem, jakie wrażenie wywierał Traugutt na ludzi, nieco dalej od niego stojących.

W książce tej autor prostuje mylne szczegóły o Henryce Pustowujtównie, jakoby rosjance, przychylniej sprawie polskiej. Nie było w niej ani kropli krwi rosyjskiej.

Ojciec jej, to węgier Pusztój, który emigrował do Rosji i przybrał nazwisko Pustowujtow, a matka z rodu Kossakowskich. Testamentem jednak zmarłego w książce tej nazwę notatkę, dotyczącą t. zw. Rządu Narodowego z czasów Traugutta. Ś. p. Marjan Dubiecki wielokroć w rozmowach, w pismach i w tej oto notatce dla przyszłych pokoleń wyjaśniał i prostował, że w ostatnich czasach powstania Rządem był tylko dyktator Romuald Traugutt, a przecież nawet polscy pisarze podawali nieraz, opierając się na sprawozdaniach rosyjskich, że dnia 5 sierpnia 1864 roku Rząd polski w osobach pięciu skazańców, powieszony został, kiedy właśnie rządem był wówczas tylko Romuald Traugutt.

„Przypuszczenia i wyobrażenia Komisji śledczych“ — pisze M. Dubiecki — „wytworzyły wielu dygnitarzy w organizacji powstańczej, jak i owych 4 domniemyanych członków Rządu Narodowego, których dało Trauguttowi za towarzyszy męczeńskiego zgonu. Byli to mężowie pod wielu względami niezwyklej miary, postaci piękne, nader poważnie na obowiązki wo-

bec kraju patrzące, ludzie wielkiego poświęcenia, ale w żadnym okresie powstania nie zaliczający się do członków Rządu Narodowego, instytucji najwyższej w tej misternej, a skomplikowanej budowie władz powstania styczniowego“.

Błąd ten przynajmniej raz na rok powtarzał się w dawnej prasie zakordonowej, koło 5 sierpnia, w rocznicę stracenia Traugutta i towarzyszy. Prostownie tych błędów, to jakby spełnienie testamentu moralnego ś. p. M. Dubieckiego; dlatego też przypominam go w artykule niniejszym, poświęconym pamięci przeznaczonego człowieka.

Stałość i porządek w załatwianiu spraw, powierzonych sobie, solidność w opracowaniu tematu i punktualność w dostarczaniu rękopisów — to były dominujące cechy ś. p. Marjana Dubieckiego. Należałoby liczne drobniejsze prace, rozrzucone w wielu czasopismach, zebrać, podać ich tytuły i miejsce druku. Nagromadziło się tego przez lat 60—70 wiele, bardzo wiele, a wszystkie zawierają cenne myśli i bogatą treść, źródłowo opracowaną.

Pierwsza praca prof. Dubieckiego datowana 1866 r. drukowana była w „Bluszczu“ w 1869 r. Jest to korespondencja z Syberji; opóźnienie, spowodowane trudnościami przesłania skryptu do Warszawy. Rękopis ten przechowuje się w bibliotece Krasieńskich, w tece, zawierającej garstkę papierów po ś. p. Marji Illickiej. Ostatnia praca drukowana była również w „Bluszczu“ około 1926 roku. Okres 60 letni, brylantowe gody z piśmiennictwem, i to na łamach tego samego tygodnika,—to rzadkość nielada!

Wcześniej jeszcze, bo w marcu 1857 r., ukazał się w wyjątkach w „Gazecie Warszawskiej“ list ś. p. M. Dubieckiego, pisany z Kijowa do brata Aleksandra. List ten w całości drukowany być nie mógł z powodu zbyt jaskrawego tonu. A więc ś. p. Dubiecki przez lat 70 służył literaturze.

Miejmy nadzieję, że wydana w 1923 r. przez p. Stefana Pomarańskiego monografia Marjana Dubieckiego, jako zarys biograficzny z powodu 85-iej rocznicy urodzin, doczeka się nowego, obszerniejszego wydania, z kompletną bibliografią prac zmarłego, opracowaną przez syna p. Tadeusza Dubieckiego.

To, co pisał Marjan Dubiecki o powstaniu 1863 r. i ludziach tej epoki,—a przez lat 70 pisał bardzo dużo,—będzie kamieniem węgielnym dla przyszłego historyjografa owych wielkich, ofiarnych dni lat 1863 i 1864; na nim się oprze, z niego czerpać będzie znajomość ducha czasu i siłę charakterów.

Cześć Ci, wielki Mężu, godny stać na świeczniku, a dokonywujący żywota w odosobnieniu i skromności, który przez cały długi żywot służyłeś Sprawie Ojczyzny! duch Twój niech krzepi, oświeca i do czynów obywatelskich potomnych zachęca. Cześć!

Jadwinów, d. 8. lipca 1927 r.

Dr. Mieczysław Offmański.

STEFAN POMARAŃSKI

ZE WSPOMNIENIŃ O MARJANIE DUBIECKIM

Śmierć Marjana Dubieckiego dla nas—ludzi, którzyśmy wyrosli z tradycji walki zbrojnej o niepodległość—była czemś niezmiernie bolesnem. Postać czci godnego weterana była nam symbolem ofiary za Sprawę, uosobieniem najszczytniejszych ideałów narodowych, była niejako łącznikiem między naszą podziemną pracą, a pokoleniem ludzi ostatniego powstania.

Spiskowiec i działacz kresowy, sekretarz Rusi w Rządzie Narodowym, przyjaciel i towarzysz dyktatora Traugutta, potem więzień stanu, skazany na śmierć, następnie katorżnik i zesłaniec — w etapach tych przeżył całą gehennę cierpienia, składając tem samem najwyższą ofiarę dla Sprawy. Po dwudziestu latach, przez amnestję uwolniony, wraca do kraju i osiada w Krakowie. Tutaj odrazu rozpoczyna gorącą działalność oświatową i społeczną, oraz kontynuuje rozpoczętą na zesłaniu pracę dziejopisarską. Daniem mu było—doczekać wskreszenia Polski. W tem właśnie upatrywał najwyższą nagrodę za trud poniesiony i to uważał—mimo wyjątkowo ciężkich warunków życia—za osobiste szczęście. Niewątpliwie odszedł z tej ziemi, którą tak kochał, dla której tyle uczynił, nietylko z uczuciem spełnionego obowiązku, lecz przede wszystkim z zadowoleniem osiągniętego celu.

Marjana Dubieckiego parokrotnie spotkałem w życiu.

Pierwszy raz jeszcze przed wojną, w 1912 r., kiedy, jako młody chłopiec, poraz pierwszy bawiłem w Krakowie. Wczasie świąt wielkanocnych odbywał się tam zjazd ogólnokrajowy organizacji młodzieży niepodległościowej, t. zw. zarzewiackiej. Reprezentowałem na nim razem z kilkoma kolegami organizację warszawską.

Obrady zjazdowe odbywały się w lokalu „Zniza” — stowarzyszenia akademickiego — krakowskiej ekspozytury „Zarzewia”, przy ulicy Jabłonowskich. Pamiętam, jak dziś, moment, kiedy wychodząc z obrad z kolegami: nieodżałowanej pamięci Olkiem Sygrycem i Tadekiem Grabieńskim, — spotkaliśmy się prawie oko w oko z pochylonym starcem, zmierzającym wolnym krokiem od strony plantów.

— Dubiecki! — wyszeptał Tadek, który, jako polityczny banita, od dłuższego czasu przebywał w Galicji, i dość często gościł w Krakowie.

Zabiło mi serce. Jakieś nabożne wzruszenie mną owładnęło. Boć przecież „stary” to był mój znajomy.

Jedną z pierwszych zabronionych książek, którą czytałem z zapałem młodzieńczym, było jego piękne dzieło o Traugucie. Jako przewodniczący kółka, czy-

tałem je później kolegom i pamiętam, ile wywołało wzruszeń. Los zrządził, że nasze gimnazjum mieściło się w nadbudowanym domu, w którym ongiś mieszkał i pracował Traugutt, z którego biegła myśl i rozkaz dyktatorski we wszystkie zakątki kraju. Dubiecki zajmował w oficynie obok osobne mieszkanie. Stąd właśnie obaj poszli do więzienia: jeden na śmierć, drugi na długotrwałe cierpienia. Pokój, który wedle naszych obliczeń był siedzibą ostatniego naczelnika narodu, otoczony został szczególną czcią młodocianych spiskowców, a klasa, która się tam znajdowała, była przedmiotem ogólnej, zazdrości.

Tyle mieliśmy wspólnego z tym starcem, tyleśmy o nim wtedy myśleli!... A teraz widzę go na własne oczy, jego — przyjaciela Traugutta, jego — powstańca...

Minęły dwa lata z okładem. Dokoła zawierucha wojenna. Po forsownym, niebywałym, słynnym dziś parodniowym, bez wytchnienia, marszu z pod Uliny Małej, znaleźliśmy się wczesnym rankiem listopadowym w Krakowie. Biwakujemy na plantach. Broń ustawiona w kozły, rynsztunek jeszcze na ramionach. Strudzeni żołnierze poprostu upadają, gdzie kto stał, aby choć na chwilę wyciągnąć znużone członki. Jeszcze nie wiedzieliśmy, czy dowództwo twierdzy, wobec spodziewanego z dnia na dzień oblężenia, nie każe nam natychmiast zbierać manatków i wynosić się z miasta. Siedzę z bratem na pokrytym pożółkłym listowiem trawniku i rozmawiamy, co będzie?

Wtem mija nas — pierwszą czołową kompanję — On! Napewno On! Zrywam się, ciągnę brata, biegniemy kilkanaście kroków. Dalej nie można. Jeszcze jesteśmy „w pogotowiu”.

A ta postać o siwej głowie śpieszy ożywionym krokiem wzdłuż wyciągniętych kompanij i bataljonów, by zniknąć nam z oczu na skrócie...

Kiedy ranny ciężko w bitwie pod Tarłowem w lipcu i sierpniu 1915 roku leżałem w krakowskim szpitalu fortecznym, mieszczącym się w gmachu szkoły przemysłowej przy alei Słowackiego, prosiłem parokrotnie wuja mego, kustosa muzeum Czartoryskich — Smoleńskiego, który znał Dubieckiego, aby mnie z nim zapoznał. Prosiłem o to również porucznika Szeetrnszusa — krakowianina i dobrego jego znajomego, który, także ranny, leżał na jednej ze mną sali. Obaj obiecali. Choroba moja wszakże, a następnie rekonwalescencja, przewlekła się dość długo. Niebawem zaś po pierwszej możliwości wychodzenia na miasto otrzymałem rozkaz od szefa Sosnkowskiego, aby bezwzględnie udać się do Warszawy. Myśl o tem, że po tylu przejściach zobaczę rodzinne miasto i najbliższych, a następnie starania o dokumenty w dowództwie twierdzy

tak mnie pochłoneły, że owo zapoznanie się nie doszło do skutku.

Znów parę lat minęło, lat dość ciężkich. Okoliczności tak się złożyły, że będąc w służbie P. O. W., pracowałem w Warszawie. Pozwoliło mi to wstąpić na Uniwersytet, w którym rozpocząłem studia historyczne. Specjalnie zająłem się XIX wiekiem, a w nim powstaniem styczniowym i Trauguttem. Z tego tytułu zamierzałem parokrotnie nawiązać korespondencję z Dubieckim. Narazie jednak odkładałem to do spokojniejszych czasów. Tymczasem zostałem aresztowany i uwięziony w Cytadeli, a następnie wywieziony do Szczypiornej. Zdołałem wprawdzie stamtąd zbiec, lecz do Warszawy i Uniwersytetu wrócić narazie nie mogłem.

Dopiero w 1919 roku, już w Polsce niepodległej, poznałem Dubieckiego osobiście. Przybył on wtedy do Warszawy na zaproszenie Naczelnika Państwa, aby wskazać celę w X pawilonie, w której więziono Traugutta. Zawdzięczam to uprzejmości prof. Tokarza, ówczesnego mojego zwierzchnika, który znał dobrze Dubieckiego. Mieszkał w hotelu Saskim i przyjął nas odrazu. Profesor Tokarz przedstawił mi, jako pracującego nad monografią o Traugucie. Zdawało mi się zrazu, że nie zwrócił na to uwagi. Przysłuchiwałem się w milczeniu rozmowie obu uczonych; przeważnie mówili o powstaniu. Myślałem, że mnie o co zapyta, w związku z moją pracą. Tymczasem wizyta się skończyła i wstaliśmy do wyjścia. Wtedy Dubiecki, ściskając mi rękę na pożegnanie, zatrzymał mnie chwilę i poprosił o adres... „Będę mógł panu porucznikowi służyć paroma dokumentami, jakie niedawno znalazłem. Proszę mi donieść o postępowaniu pracy. Bardzo się cieszę“.

Odtąd mogę powiedzieć, że pracowałem w dużej mierze pod jego auspicjami. Korespondowaliśmy dość często. Przesłał mi parę listów i dokumentów, służył radą i zachętą. „Szczęść Boże w dalszej pracy“—pisał mi jeszcze w zeszłym roku w końcu sierpnia—niedługo przed śmiercią. Dość częsta wymiana myśli, a następnie sprawa wmurowania w 1921 r. w pylon wiaduktu w Alei Trzeciego Maja przez „kadrówkę“ tablicy pamiątkowej, poświęconej Traugutowi, zacieśniły stosunki jeszcze bardziej. Napisał mi kiedyś, że widział wymarsz kadrówki z Krakowa i że życzył nam z całego serca powodzenia.

Za te życzenia „z serca“ odwdziczyłem się w miarę mych możliwości: Kiedy w 1922 r. święcił 85-tą rocznicę urodzin, wydałem okolicznościową broszurę o jego życiu i działalności.

Dookoła tej broszury wywiązała się między nami pewnego rodzaju polemika. Brał mi mianowicie za

złe, że z mojego przedstawienia rzeczy ktoś nieuważny mógłby mu przypisać jakąś separatystyczną działalność na kresach w okresie przedpowstaniowym. „Tymczasem rzecz się miała zupełnie inaczej“ — są słowa listu.—„Ruch odrodzieńczy na Wołyniu i Ukrainie był przesiąknięty ideą federalizacji z Polską, ideą, którą tak niedawno znów podjął Komendant,—a nie separatyzmu, który, jak dziś, tak i wtedy, uważany był za zdradę. O nowym rozbiórce Polski nikt z Polaków nie myślał...“ Oczywiście daleki byłem od przypisywania mu separatyzmu i właściwie trzeba było wyjątkowej złośliwości, aby tego rodzaju wniosek z broszury mej wyciągnąć. W każdym razie obiecałem w ewentualnym, nowym przedruku rzecz całą przedstawić wyraźniej. Zdaje mi się jednak, że Dubiecki, mimo tego zarzutu, rad był z „jubileuszowego“ upominku i zachował dobrą o nim pamięć.

W 1924 roku zawitał do Warszawy — po raz ostatni. Mimo tak podeszłego wieku, przyszedł do mnie do biura w Archiwum Akt Dawnych, aby obejrzeć znalezione właśnie przezemnie w archiwaliach, reewakuowanych z Rosji, akta sprawy jego i Traugutta. Z niedającym się poprostu opisać wzruszeniem przeglądał te karty. „Widzi pan“—mówił—„to jest moja młodość, najpiękniejsza część życia. Proszę się nie dziwić, że łzy mam w oczach“. Istotnie mógł być tylko dumny z tych niemych, a tak wymownych świadków swej młodości. W przeciwieństwie do innych, słabszych charakterem spiskowców, z indagacyj inkwizytorów moskiewskich wyszedł zwycięsko. Mimo dowodów, jakie miała komisja śledcza przeciw niemu, nie przyznał się do niczego, nie wydał nikogo. „A bili strasznie! poniewierali godność ludzką, szarpali najświętsze uczucia“—mówił.—„Czy pan wie? Proszę mi wierzyć, panu pierwszemu z obcych to mówię: bili mię tak, że miałem nadłamaną szczękę“.

Wrócił do Krakowa, by już go nie opuścić więcej. Donosił mi jeszcze, że ma zamiar pisać pamiętniki, lecz że wiek utrudnia pracę bardzo. Tracił słuch, a wreszcie i wzrok. Ostatnio pisywał ktoś za niego, i tylko drżącą ręką kładł po omacku swój podpis.

Dnie jego były policzone...

Aż wreszcie 24 października 1926 roku nadszedł dzień ostatni...

Generalski miał pogrzeb. Z rozkazu Marszałka Piłsudskiego oddano jego prochom najwyższe honory. Rząd Rzeczypospolitej reprezentował wojewoda krakowski.

Spoczął w ziemi ojczystej na wieki, na wytchnienie najbardziej zasłużone.



FELICJA KRUSZEWSKA

ZA DUSZKI

A witajcie, najmilsi,
wielkie dziś święto mamy:
rzucamy swoje dróżki,
podchodzimy do bramy.

Tylko ta jedna brama
wszystkich nas żywych dzieli...
Mówią nam o was dzisiaj
światła, krzyże, anieli.

Przynosimy wam kwiaty,
jakby na imieniny,
wianuszki, latarenki
i gałązki sośniny.

Laurki mamy w sercach —
zwyczajne dobre słowa,—
bo nic nie wiemy przecież,
jaka jest wasza mowa.

Kroczymy tak ogrodem
cisi i uroczyści —
szkoda, że nie słyszycie
sypkiego szmeru liści.

Idziemy jak małe dzieci,
zabłąkane na świecie,
o starsi bracia i siostry,
którzy już wszystko wiecie.

Szepczemy wasze imiona,
wznosimy oczy do nieba,
ale nie wiemy naprawdę,
jak was nazywać potrzeba.

Oczy wciąż myślą o oczach,
serce o sercu bijącym,
ręce zapomnieć nie mogą
o rąk dotknięciu gorącym.

Coś tam prawimy niemądrze,
każdy jak może i umie,
i wiemy, że usłyszycie,
a Bóg to wszystko zrozumie.

A potem życie nas woła,
odchodzimy od bramy.
Dowidzenia, najmilsi,
spotkamy, się spotkamy.



ADAM CZARTKOWSKI

KSIEŻNA ŁOWICKA

V.

W BELWEDERZE

5

Życie księżny Łowickiej upływało bardzo jednostajnie. W. Książę, aczkolwiek lubił bawić się gdzieś indziej, u siebie—podczas całego pobytu w Warszawie, nie urządził ani jednego przyjęcia dla towarzystwa warszawskiego. Salony pałacu Brühlowskiego i Belwederu nigdy nie rozbrzmiewały gwarem uczt, lub zabaw tanecznych.

Dom był bardzo dostatnio, ale oszczędnie prowadzony. Wszystko w nim szło, jak w zegarku, dobrze uregulowanym.

Ruch zaczynał się bardzo wcześnie, bo W. Książę latem wstawał o czwartej, zimą—o piątej rano. Koło 8-ej latem, a koło 9-ej zimą odbywała się zwykle na Saskim placu parada wojskowa, przed wyjazdem na którą Konstanty schodził na chwilę do żony dla oddania jej „dzień dobry“. Powróciwszy z parady wojskowej i urzędowych przyjęć w pałacu Brühlowskim, W. Książę zjawiał się znowu u żony, tym razem na śniadanie. Ona przedtem była już na mszy bądź w swej kaplicy, bądź w mieście, i czekała na małżonka najczęściej sama. W święto zwykle o tej porze odwiedzała ją matka. Szybko zjadano ten posiłek, poczem on szedł do siebie słuchać raportów, a o pierwszej odbyć swą codzienną przejażdżkę w towarzystwie dyżurnego adjutanta, ona zaś bądź oddawała się swym zajęciom: pisaniu listów, haftowaniu, czytaniu, bądź wyjeżdżała z wizytami, lub za sprawunkami do miasta.

O 3-ej po południu małżeństwo schodziło się znowu przy obiedzie, do którego zasiadało zwykle w towarzystwie Pawełka Aleksandrowa, jego guwernerów i służbowego adjutanta. Jeśli w Warszawie bawili przejazdem jacyś obcy lub rosyjscy wysocy dygnitarze, po przedstawieniu Księżnie byli zwykle zapraszani na obiad. Rzadziej bywał proszony ktoś z miasta — np. generał artylerji Bontemps, lubiany bardzo przez W. Księcia. Nawet tak bliski kuzyn pani Żanety, jak Klemens Kołaczkowski, był tylko raz w Belwederze na obiedzie. Oczywiście, członkowie rodziny cesarskiej, bawiąc w Warszawie, prawie codziennie jadali obiady u braterstwa. Obiad był zawsze wyborny, ale trwał bardzo krótko, a rozmowa ograniczała się prawie zupełnie do monologu W. Księcia i zabawną nie była.

Po obiedzie w tem samym kole pito czarną kawę w salonie Księżny, gdzie Książę, stojąc zwykle przed kominkiem, palił cygaro. Po półgodzinnej



Joanna ks. Łowicka według litografji Śliwickiego

rozmowie o bieżących sprawach Konstanty udawał się do siebie na górę, gdzie kładł się o 6-ej i spał do 8-ej w. Księżna pozostawała w salonie i przyjmowała wizyty.

Koło 8-ej większość gości odjeżdżała, pozostawały dwie — trzy osoby, bardziej poufale, którym ten zaszczyt był dozwolony. O tej godzinie W. Książę schodził z górnych pokojów na wieczorną herbatę, a surdut jego mundurowy, niedopięty na jeden guzik, oznaczał, że etykieta ustawała. Gdy gości nie było, zjawiali się tylko swoi: Pawełek z guwernerami i adjutant służbowy, i zasiadano do herbaty, którą częstowała Księżna. Te posiedzenia wieczorne, jak podaje hr. de Moriollles, jeden z guwernerów Pawełka, w swym pamiętniku, podobnie jak obiad, równie nie były zabawne.

Książę czytywał głośno polskie gazety, wysmiewając się z trudniejszych słów i robiąc swoje złośli-

we uwagi o treści artykułów; następnie zaczynał opowiadać swe anegdoty, wiecznie te same; nieraz zabierano się do czytania głośno jakiejs książki, co dawało Księżnie powód do mglistych filozoficznych wywodów, w których wkońcu gubiła się sama, i gdy uderzała godzina 10, rozchodzono się po tych dwugodzinnych śmiertelnych nudach do swych pokoi spać.

Jeśli bywał kto obcy, było mniej nudno; niekiedy nawet dość wesoło. Ożywione dysputy miały zwykle miejsce, gdy była obecna pani Rozalja z Lubomirskich Rzewuska, kobieta inteligentna, rozumna, dowcipna i umiejąca bronić swego zdania.

Rzadko kiedy bywało więcej osób. Zdarzało się to tylko w wigilję Nowego Roku, lub z powodu innej jakiej solennej okazji, np. imienin Księżny. Wówczas do pięćdziesięciu dam zjawiało się w Belwederze. Ale zato przyjęcie nosiło cechę wysoce oficjalną. Księstwo wchodzili razem pod rękę, odbywali c er c le i po pół godzinie opuszczali salę.

Na Nowy Rok lub w pierwszy dzień świąt Wielkanocnych Księstwo składali wizyty Namiestnikowi, wojew. Potockiej i ordynatowej Zamoyskiej; podczas karnawału bywali na balach, urządzanych w domach arystokratycznych polskich i wyższych wojskowych rosyjskich, niekiedy odwiedzali teatr francuski. I to stanowiło już prawie wszystkie rozrywki, którym się oddawali.

Latem Księżna towarzyszyła często mężowi podczas manewrów wojskowych i zwiedzania obozów i rzadko odwiedzała swe przyjaciółki w ich wiejskich rezydencjach.

Na sposób prowadzenia życia przez Księżnę wielki wpływ wywierało jej zdrowie. Było ono wątłe i słabe jeszcze za jej czasów panińskich, ale od 1824 r. zaczęło szwankować coraz bardziej i częściej.

Cierpienia żołądkowe i piersiowe wraz z nerwowymi męczyły ją bardzo i długo. Nieraz nawet groźnego nabierały natężenia. To też zaczęła wyglądać coraz gorzej.

Moriolles powiada, że wobec Herkulesowej postawy męża była ona prawdziwą pianką: z profilu miała wygląd ostrza noża, en face — cienia. Mię-

dzy skórą, a kośćmi nie czuło się ciała; w dodatku wciąż mieniała się na twarzy; to wyglądała świeżo, jak róża, to stawała się żółta, jak wosk.

Wobec takiego stanu rzeczy musiała pędzić życie przeważnie zamknięte w swym apartamencie, w którym wszystko miało tylko jej wygodę i zdrowie na względzie.

Zmuszona cierpieniami, trzy razy wyjeżdżała zagranicę do wód, a mianowicie: późnem latem 1824 r. do Ems, w 1825 r. do Karlsbadu i Ems i w 1829 r. znowu do Ems. Oprócz poprawy zdrowia te wyjazdy dostarczały jej dużo rozrywki i zadowolenia.

Odwiedzała wraz z mężem dwory niemieckie, gdzie przyjmowano ją z honorami, należnemi i okazywanemi zwykle w. księżnom; poznawała ludzi, zawiązywała nowe stosunki i otrząsała się cokolwiek z monotonji swego życia, która, coprawda, nie bardzo jej ciążyła.

W jej listach nie można znaleźć ani jednej skargi na nudę lub pustkę. Potrafiła sobie czas zapełnić, co było tem łatwiejsze, że nie należała do natur, które wciąż są głodne wrażeń, ciągle za niemi gonią, ciągle nowych podniet potrzebują.

Najwięcej miejsca w życiu księżny Łowickiej zajmowała religja. Praktyki religijne, spełniane z ochotą i stale, medytacje religijne, lektura dzieł religijnych i sporządzanie z nich wyciągów; zabiegi i troska o zbawienie dusz osób bliskich, a nawet i obcych; opieka nad duchowieństwem i zakonami, nad biednymi i chorymi,—wszystko to pochłaniało każdą niemal wolną chwilę i dawało jej duszy, naprawdę wierzącej i szczerze chrześcijańskiej, dużo radości i spokoju. Jej korespondencja z siostrą, Antoniną Chłapowską, świadczy dobitnie, że religijność ta nie była bigoterją, że była szczerą i pozbawioną wszelkiej przesady, że była przejawem naprawdę głęboko zakorzenionych zasad i przekonań. Mąż nie krępował jej w niczem pod tym względem, nawet jakby się poddawać zaczął jej poglądom; nic więc dziwnego, że czuła się w pożyciu małżeńskim naprawdę szczęśliwą i pisała w jednym ze swych listów:

„Wszystko tu (u nas) podawnemu: dziś — jak jutro, jutro — jak wczoraj, a ja to lubię i proszę Boga, aby się utrzymało“.

(c. d. n)



HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

5

KOSZULA DEJANIRY

(nowela)

Dałam jej złotówkę. Pogardliwie ważyła ją na dłoni.

— Dasz więcej, jak pomyślisz. Dasz złoto, kiedy zapali się w tobie złoty ogień.

I odtąd przychodzi cyganka niemal codziennie i grzebie się brudnymi paluchami w mojej mące.

— Gdy zechcesz, powiem, jak może wrócić do ciebie kochaneczek. Stara cyganka umie skrócić daleką drogę. Daj dwie złotoweczki!

Żółty ząb tańczy w plugawej czeluści, a oczy wywlekają ze mnie rozpacz i biorą ją na tortury:— mów, wyznawaj, ratuj się...

* * *

Odwiedził mnie przyjaciel Romana, nasz wspólny przyjaciel. Sypał rozmową, jak delikatnym pudrem. Czułam, że się uduszę, ale nie mogłam z siebie zrzucić tych miękkich, coraz grubsza warstwą układających się płateczków-słów, niby dobrych, niby czułych. Krzyczałam bezgłośnie:

— Roman! Mów mi o Romanie!

Powiedział mi wreszcie. Sfrunęły lekkie słoweczka i przysły w powietrze.

— Ślub po Wielkiej Nocy.

Nawet data, nawet dzień, godzina, kościół—potoczyły się, jak koła roweru cichutko, z pośpiesznym migotem cienkich osi.

I nie wiem, dlaczego wtedy właśnie ten popielaty kostjum i szerniały, wystrzępiony bukietek fiołków... Dlaczego takie ciężkie, gorące zawstyżenie na przygniętych powiekach... Dlaczego ten głupio drgający uśmiech...

W rękach kołysze się przyjacielską gałązką białego, chłodnego bzu.

— Taki kwiat jest, jak smutek na cmentarzu. Wyrzuc pachnące zielsko!

Jak dobrze, że teraz właśnie przyszła! Tak, wyrzuc, wyrzuc i mnie na śmietnisko! Nic już nie jest potrzebne.

Ręka cyganki, jak łapa kury, trzepiącej się w zgnitej mierzwie, brudna, chropawa, pazurzista —

zabiera kwiat. Szumi, szumi, szumi w uszach to, co już nie jest potrzebne.

— Znam ziółeczkę inne, lepsze. Zasuszoną werwenę, bluszczuk w proszku, żółtą malwę z pannieńskiego ogródka. Spal na popiół i wsyp miłemu do kieliszka. Umrze, a nie odejdzie.

Złość zółci się, brzęczy, jak trzmiel.

— Są sposoby, jest moc, jak czarna chmura. Błyskawicą, jak sznurem, przyciągnie. Czego płaczesz? Płacz wielkim morzem rozdzieli. Płacz pożegna na zawsze. Trzeba, żeby się nie stało, co się ma stać.

.....

Zapiski Heleny urwały się, i błysnęła jaskrawa biała pusta karta.

Zofja, czytając, zwierzała się z tą spowiedzią, jak z żywym szaleństwem. Na chwilę usiłowała się tłumaczyć z tego, że można było deptać ból, który wił się, jak ślepe glisty. Podejrzliwy niepokój zbełtał do reszty już i tak zmętniała atmosferę przeszłości. Przez zeszcłe festony minionych zwycięstw wychylała się teraz twarz Romana — obca, przecząca z odległą srogością pewności posiadania. Trzeba było skwapliwie wyrzec się wszelkiej wspólnoty z chłodną akwamaryną tych dalekich źrenic, z zapiekłym smutkiem obumarłych warg.

Kraj zażytych wspomnień opustoszał. Lecz poza jego granicami, niby przez lunetę oglądane, działy się dziwne, nieodpowiedzialne przed nikim sprawy. Można patrzeć na nie zdaleka tylko. Można nawet wołać ku nim: Zaczekajcie, zatrzymajcie się! Skapitulowałam, wszystko mi już jedno! — Ale i tak nikt nie usłyszy, nikt nie zwróci uwagi, i wszystko odbędzie się w swoim wyznaczonym porządku. Pokolei. Aż do tej pustej kartki, do tych wszystkich pustych kartek, które zostały jeszcze w zeszyście.

Można je tak odwracać jedną za drugą i wędrować po ich zastraszonej pustce. I wtedy stwierdziła Zofja niemal z przerażeniem, że trzeba tylko ominąć kilka stron, aby znowu spotkać się oko w oko z krzykiem tego pisma, z poszarpanym rysunkiem bólu.

.....

„...Zostawiam kilką stron, bo chcę na nich kiedyś później napisać to, na co dziś niema słów odpo-

wiednich. Dziś od rana do wieczora, od wieczora do rana pracuje niemilkące kowadło: wróć się, wróć!

I nic ponadto. Nic więcej ponadto. Nie widzę, nie słyszę, nie pamiętam.

* * *

— Może wrócić, gdy zechcesz.

— Chcę.

— Czy masz coś, co nosił? Co było na jego ciele?

— Nie mam.

— Poszukaj. Bez tego nic się nie zrobi.

* * *

Rzeczy wylatują z kufrów, jak wielkie, niezgrabne ptaki.

Szukam.

A tymczasem żółte, zielone, białe nalepki na kufrach opowiadają natrętnie, zaczynając każde zdanie od łagodnie szepcącego: pamiętasz?

I muszę już nazawsze zapamiętać, że były pociągi i okręty, hotele i restauracje, wystawy i sklepy. Że były gorące bruki i chłodne wiatry morskie. Że była zieleń mijanych trawników i cień drzew. A wszędzie razem. Wszędzie jego ręce, oplatające moje ramię, jego głowa tak wysoko w powietrzu nademną. Wszędzie moje serce nisko, niziutko do jego stóp. W Wenecji, Neapolu, Paryżu, Ostendzie, Berlinie, Wiedniu...

Tak, to było w Wiedniu. W tłoku Grabenu i Kärntnerstrasse, w słońcu na Ringach. Od sklepu do sklepu. Ból w płucach. Wiatr od Dunaju grał dreszczem. Nogi ledwie się odrywały od chodnika. Ale trzeba nadążyć, trzeba razem. Nie należy przeskakać jego namiętnej radości kupowania. Niepostrzeżenie myśli uciekają od tych krawatów, koszul, pyjam, rozkładanych na ladzie, uciekają, jak myszki, w jakiś ciemny, daleki kącik.

I tak znalazło się to, czego szukam. W kufrze, który był z nami w Wiedniu, a wnet potem, nierozpakowany, przyjechał tu ze mną. Część bielizny Romana ułożyłam wtedy na spodzie, bo już w jego kufrze nie było miejsca.

Wszystko jest teraz proste i nic się chyba nie zmieniło. Pozostała codzienna bliskość i to najdroższe, najmiłsze łączenie drobnych spraw z ważnym szczęściem. Jest dotknięcie rzeczy, które on nosił. Wymyka się z pod palców liljowa linijka desenu na

śliskiej fali zmiętego jedwabiu koszuli. Mała spinka z perłowej masy mruga opalowym światłem. Jest zapach Sweat Pea wierny i żywy. A myśli nie biegają się już, jak myszki. Nie, są tu wszystkie razem, nawleczone jak wesołe, kolorowe paciorki na długą nitkę.

* * *

— Czy znalazłaś?

— Znalazłam.

— Daj.

— Nie, nie dam.

— To nie wróci.

— Wróci — już przecież wrócił...

* * *

Drobnym druczkiem wypisany dzień, godzina, kościół... Dziś, jutro, pojutrze. I jeszcze raz pojutrze. Wyliczyłam dokładnie, zsumowałam godziny, minuty.

I myślę: Gdy wybije ta najstraszliwsza, zawali się kościół. Zapadnie się twardy bruk pod nogami. Wybuchną pożary, zatrzęsie się ziemia. Wszystko przestanie istnieć. Bo — to nie może przecież być!

Posłuchaj, co ci powiem, posłuchaj...

Nie, już nic. Deszcz leje i wiatr gwiżdże nieznosnie. Cóż może być więcej? Ty...

Jutro będzie pewnie pogoda, a pojutrze już nic.

* * *

Zębami wyszarpałam strzępek jedwabiu. Przegryzłam liljową linijkę. Lubieś zawsze ten nikły bieg pasczków, te liljowe, jakby zziębnięte smugi, te żyłki niewinne, ciągnące się atłasem na chrzeście białego jedwabiu. I dlatego dobrze jest niszczyć teraz to, co lubisz. Dlatego tak łatwo jest oddać to wstrętnym, brudnym ręką, które gnioł skrawek i plamą go lepkim śladem potu.

— Jutro?

— Tak, jutro.

— Albo wróci do ciebie, albo nie będzie już niczyj!

Wiem. Tak być musi.

* * *

Mała, brudno-żółta figurka z wosku. Widzisz — tu główka. Czyjaś poczwarna główka. Małe embrjo uśmiecha się szerokimi wargami żaby. Kreseczki oczu zamysliły się nieprzytomnie. A tu serce, maleńkie ser-

duszkę. I strzępek jedwabnej, liljowej linijki pod sercem.

Palce cyganki kłują się i rozwierają.

— Weź, pobaw się! Żyje, choć jest z wosku.

Może się to wszystko tylko śniło?

— Wosk z niedopalonej gromnicy...

Rudy, ślepny płomyk. Leniwe, tłuste skwirczenie wosku. Sztywność ciała. Szumienie modlitwy. Krzyk—krzyk.—Nikt nie chce umrzeć! Nikt nie chce odejść na zawsze!

Tęsknota ma długie, długie ramiona. I jeszcze nie dosięga. Nienawiść jest, jak krótki ostry nóż. Uderza!

Dwie zielone strugi z oczu cyganki, jak dwie ścieżki. Idę po nich powolutko, noga za nogą. Posłuszenie. Wielki, rozległy świat czarnych źrenic. Rozbiegłe pręty brązowych promieni nad okrągłą przepaścią krateru.

Cóż może ta biedniutka, mała szpilka? Węzełek jej śmiesznej główki gubi się w palcach. Ostry koniec wciśnięty w wosk. Wchodzi tak łatwo, tak posłuszenie. A teraz trzeba już nacisnąć mocniej. Bo ktoś nie chce, ktoś się broni.

Palce muszą być zawzięte. Figurka zgnięta się, kruszy, rozsypuje, jak grudka gliny.

Poprzez liljową linijkę przesuwają się nawskróś srebrne ostrze szpilki.

— Już!

Niebo jest blade dla oczu, które umierają. Niebo jest blade i żółte, jak wosk. Powietrze jest kruche, jak wosk. Liljowy strzępek jest sercem i pełno w nim krwi. W ustach rozbiega się słono i ciepło...

Miłość, tęsknota, nienawiść — to przecież tylko [moja śmierć.

Nic innego stać się nie mogło, stać się nie [powinno..."

.....

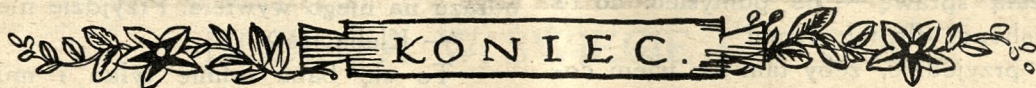
Rozczochrane włosy zgrozy, blade, szeroko rozwarte usta przerażenia, nic już nie pojmujące, w daremnym trudzie nawierzchni wybiegłe źrenice lęku. A teraz jakieś myśli pragną przyoblec się w słowa. Śpieszą się i przystają.

— Co, co się właściwie stało?

Ale twarde, kamienne dno prawdy nic już więcej nie chce i nie może zrozumieć.

Mądre usta Zofji drgnęły.

— Miłość, tęsknota, nienawiść—to śmierć... Nic o tem nie wiedziałam. Nic nie wiedziałam o straszliwym czarodziejstwie miłości, tęsknoty, nienawiści...



W. MIŁASZEWSKA

17

KACZĘTA

(powieść)

Nieraz myślałam, co on z temi sztucznymi kwiatkami zrobił, co ich tyle nakupował u nas bez potrzeby... Nawet kiedyś wzięłam na odwagę i zapytałam go.

A pan Kazimierz na to:

— Ubrałem niemi fotografię pani, co wisi u mnie na ścianie już trzeci rok.

Dałam mu kiedyś tę fotografię, bo o nią bardzo prosił. Potem mi ją odesłał, ale bez kwiatków. Może je schował na pamiątkę, a może do śmieci wyrzucił? Tego już nie wiem...

Ot, przeszłość się przypominała. Znowu wszystko stało się w oczach, jak żywe. Pókiż tego będzie? Śmiech doprawdy. Stara jestem, siwieję mocno, a w sercu niewygasły sentyment. Ot, serce ludzkie!

Marek się zamalował, że świata Bożego nie widzi, a ja się rozpisałam, lichy wie, o czym. Aha, już przypominałam sobie, o co to poszło.

Bo teraz inna moda. Teraz młoda panna pozna młodego człowieka, w teatrze, albo na balu, albo nawet i na ślizgawce i powiada prosto z mostu:

— Może pan odwiedzi nas kiedy?

Tak się robią te znajomości, i potem okazuje się, że nieraz taki elegancki dudek, to nielada frant!

Adelcia strasznie zła, jak ja jej uwagę zrobię, że niekoniecznie dobrze nieznanym ludzi do domu wprowadzać. A przecież nie dalej szukać, jak u Sliweckich, zdarzyła się ładna historia. Mela Sliwecka, koleżanka Adelci, poznała,—i to nie byle gdzie, bo

na wencie w cukierni,—jakiegoś młodego człowieka, już nie pamiętam nazwiska.

Przystojny, ułożony dobrze — rezolutna Mela, niewiele myśląc, zaprosiła go na swój fiks. Młodzieniec przyszedł. Przyszedł raz, przyszedł drugi raz. Pamiętam, że Sliweccy nachwalić się go nie mogli. A co za wychowanie, a jaki takt! A jak ślicznie po francusku nie tylko deklamuje, ale sam wiersze układa! Pamiętam, w zeszłym roku to było, przyniosła mi kiedyś Adelcia wiersz, przepisany z albumu od Meli. Ja tam po francusku czytać nie umiem, ale mi Adelcia wszystko przetłumaczyła. Było i o kwiatach — i o sercu, co na kolana klęka przed taką piękną dziewczecą. Druga połowa tego wiersza była znowu poświęcona matce Meli. I tej się dostało komplementów, że Junona wobec niej miesza się i blednie... Różne głupstwa takie powypisywał — pewnie z książek — a pani Sliwecka, i Adelcia, i Mela nie mogły się opamiętać z zachwyty.

Powiedziałam Adelci:

— Et, pisze zgrabnie, bo pisze, ale żeby was przyładkiem nie okradł ten wasz poeta!

Jakbym w złą godzinę wyrzekła! Nie okradł wprawdzie Sliweckich, ale szachrował u nich w karty, i któryś z gości przyłapał go na szacherce. Z tego powodu wynikł, naturalnie, skandal. Dopiero się okazało, że i nazwisko miał zmyśnione, bo się prawdziwie nazywał jakoś mocno z żydowska. Różne tam sprawy tego eleganta wyszły na jaw — a państwo Sliweccy aż odchorowali całą sprawę — bo pomyśleć: co to za wstyd, jaki dyshonor dla ich domu!

Jak Adelcia przyjedzie, żeby tam nie wiem co niech się nawet nasroży, muszę jej przypomnieć Melę i jej znajomego. Wolę przeprawę z Adelcią, niż byle kogo pod dach nasz przyjmować. A ten wojskowy wcale mi się nie podoba. I jeszcze Adelcię po imieniu nazywa, jakby beczkę soli razem zjedli!

30 października

Z powodu choroby Marka nosa poza dom prawie nie wytknęłam przez kilka tygodni, a co się przez ten czas nie narobiło! Niemcy przegrali z kreteśsem tę wojnę. Dobrze im tak. Będą musieli teraz płacić za wszystko. Już jabym na miejscu Francuzów i Anglików nie pofolgowała im w niczem. Niech pracują, niech płacą za wszystko, co w świecie złego narobili!

Stasia teraz po całych dniach w domu niema. Niby chodzi na politechnikę, ale ja wiem, gdzie to ta politechnika się mieści. Ja niby nigdy na nic uwagi nie zwracam, a przecież dobrze wiem, co się święci. Może to serce moje przeczuwa, dlatego, że te dzieciaki nad życie kocham i zabiegam koło nich, jak ta kura, co wysiedziała kaczkę. Oj, prawdziwe z nich kaczkę wyrosły: — każde, ledwie od ziemi odrosło, puściło się na szerokie wody — a ja latam po brzegu, jak ta kwoka, i tylko ze strachu cierpnę, żeby im się co złego nie stało.

Naprzykład—Staś. Wiem napewno, że w jakiejś organizacji pracuje, wojskowej, czy nie,—w każdym razie w tajnej organizacji młodzieży przeciwko niemcom. Bardzo to szlachetnie, i w duchu dumna jestem ze Stasia, ale czy on nie za młody?... Powiedział ktoś u nas: teraz takie czasy, że dzieci politykę robią. Musi to być prawda, bo przecież Stach dzieciuch, smarkacz, ledwie z gimnazjum wyszedł, a w polityce siedzi po uszy. Jak przychodził ten niemiec na przesłuchanie, powiedziałam Stasiowi:

— Ej, Stasiu, ty się doigrasz! nim Niemcy precz pójda, ciebie do kozy wsadzą.

Staś się śmiał, bo był w dobrym humorze, i powiada:

— Nie bój się, ciotko. My także swoją policję mamy i wiemy o nich więcej, niż oni o nas. Dopiero ciocia zobaczy, co tu się będzie działo wkrótce...

— Oj — pomyślałam wtedy — żeby tylko nie zobaczyła zawiele!

Myszę, że teraz właśnie przychodzi czas na te awantury. Niemcy ciągle butni napozór, ale widać, że uszy po sobie położyli. Nawet po ulicach przesuwają się, jakby ukradkiem, i daleko ich teraz mniej po Warszawie się szwędą. To wszystko sama widzę przeważnie z okna, bo jeśli gdzie wychodzę, to do apteki, albo na targ, przypilnować Walerki.

Ale i na targu można się dużo napatrzeć. Dawniej — przyszedł jaki Niemiec, towar wziął, pieniądze położył, — a przekupka ani piśła. A teraz głębiej od razu na niego wywiera. Przyjdzie Niemiec:

— Kleba jest?

To się baba odmie tylko i milczy. Niemiec znowu:

— Jajki jest? słoniny jest?

Ehe! Jak mu odpowie niejedna, to uszy wędzną! „Zeskrob tę słoninę z karku“—powiada — „to będziesz miał niemiecką słoninę, bo polskiej świnie dla ciebie szkoda“.

Niemiec nic nie rozumie, bo się tych paru słów wyuczył, jak papuga, więc tylko zżyma się i grozi, że „policję“ zawoła.

„A wołaj sobie, wołaj“ — goni za nim urągający głos przekupki. Na straganie trzyma same nadgniłe jarzyny, a dopiero w koszyku, pod taborkiem, na którym siedzi, jest i słonina, i chleb i masło.

Szmugiel się na dobre zaczął dopiero teraz. Dawniej, jak baby niosły przemycany towar, to zębami ze strachu szczękały i nim ruszyły w ulicę, obejrzały się sześć razy, czy gdzie Niemca nie widać. Ale teraz — ho ho! przegonią ją z jednego rogu, staje z pieczywem na drugim, a niech Niemiec spróbuje „zarekwirować“ chleb,—podnosi taki gwałt, że się od razu z pół ulicy zbiegnie... Wtedy już gorzej dla Niemca, bo w tłumie teraz niebardzo bezpiecznie.

Wczoraj Staś wrócił późnym wieczorem, a tak się jakoś skradał po mieszkaniu, że mię to zastraszyło.

Idę do gabinetu, a on koło skrzyni z barchanami coś majstruje.

Pytam go:

— Co ty tu robisz, Stasiu?

A on odrazu palec na ustach:

— Cicho! Niech ciocia nie krzyczy. Ojciec się obudzi i będzie awantura. Ciocia to też ma polityczną głowę!

Zatrzasnął skrzynię, a kluczyki schował do kieszeni.

— Niech ciocia idzie spać, a ojcu nic nie mów, bo tylko będzie mitręga!

— Dobrze, — mówię — Stasiu, ale co ty tu masz za interes?

— Przecież nic nie skradnę, w to ciocia chyba wierzy? A kluczyki zachowam u siebie. Jakby ich ojciec na zwykłym miejscu szukał, niech mię ciocia uprzedzi, moja ciociu!

Poskoczyliśmy ku drzwiom, bo Teofil w swoim pokoju mocniej chrapnął, a Staś w jadalni uściśnął mię na dobranoc i powiedział jeszcze:

— Moja ciociu, ciocia teraz jest jakby w spisku! Niech ciocia o tem pamięta. Przecież ciocia wie, że nic złego nie zrobię: dla Polski pracuję, jak mogę. Niech ciocia idzie spać i śpi spokojnie.

Spać spokojnie, właśnie! Z takimi dziećmi! Oj, Boże mój, już ja to chwili spokoju nie mam. W ciągłej niepewności żyję, ciągle się o coś trapię.

Teraz znowu z tym Stasiem... I niby wiem coś — i nic nie wiem.

Wszędzie jakieś konszachty, tajemnice, a ja w to wszystko wmieszana, nie wiedzieć jak i po co.

Pewnie, że co Staś robi, to nie musi być nieuczciwe, ani złe. A pewnie dlatego do skrzyni się dobrał, że tam schował coś swojego, żeby w ręce Teofilowi nie wpadło...! Może jakie broszury?

Ładny byłby bal, żeby tak rewizję urządzili. Muszę jednakże Stasia przestrzec, żeby rodziny lekomyślnie nie narażał.

Ciekawam też, jak on klucze od tej skrzyni znalazł, bo Teofil chował je w saloniku za obrazem w dębowej ramie.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

UROCZYSTOŚĆ SZKOLNA

Dnia 9 października odbyła się w gimnazjum p. Zofji Matyskowej uroczystość dwudziestopięciolecia istnienia szkoły. Liczne zebrane dawne i obecne uczennice, oraz rodzice uczennic i przyjaciele gimnazjum wysłuchali z zajęciem przemówienia obecnego p. Dyrektora gimnazjum, kreślącego dzieje tej uczelni, związane z historią prywatnego szkolnictwa polskiego w b. Królestwie Polskim, przedstawiciela władz oświatowych w osobie wizytatora Chotbota, sędziwego prof. Dicksteina, oraz przedstawicielki grona nauczycielskiego, uczennic i innych, podnoszących zasługi p. Przełożonej w jej pracy nad wychowaniem młodzieży w duchu obywatelskim i narodowym. Uroczystość zakończyły wokalnemuzykalne popisy uczennic.

Podobne obchody przypominają nam niedawne dzieje przesładowań oświaty polskiej przez najeźdźców, a z drugiej strony wskazują na niedocenianą dziś rolę, jaką odgrywa obecnie szkolnictwo prywatne, zwłaszcza w b. zaborze rosyjskim, gdzie wyręcza w znacznej mierze państwo w jego obowiązkach, dopełniając nieliczne gimnazja rządowe.

J. K.

KOBIETY W FINLANDJI

Kobiety fińskie są słusznie dumne z tego, że pierwsze w Europie zdołały uzyskać prawa wyborcze. Agitację w tym celu rozpoczęły one w swoim kraju jeszcze w pierwszej połowie 19-go stulecia.

Rozpoczynając swoją kampanję, kobiety fińskie rozumiały dobrze, że, aby uzyskać równouprawnienie polityczne, muszą one dążyć przedewszystkiem do wykształcenia, równego mężczyznom. To też w kraju tym dziewczęta oddawna już są dopuszczone do studjów uniwersyteckich.

Naogół biorąc, Finlandja jest krajem ludzi wykształconych; analfabetów niema tam zupełnie, szkolnictwo stoi na bardzo wysokim poziomie. W miastach fińskich najpiękniejsze lokale posiadają księgarnie; znaleźć w nich można najcenniejsze utwory literatury zagranicznej nie tylko w oryginale, ale i w doskonałym tłumaczeniu na fiński i szwedzki; oprócz tego istnieją niezliczone tanie wydawnictwa dzieł pisarzy fińskich, oraz ich przekłady na języki europejskie.

Kobiety fińskie nie są piękne: posiadają one dość wybitny typ mongolski. ujawniający się w wystających kościach policzkowych i skośnych, niewielkich oczach; nie używają one tak rozpowszechnionego dziś w Europie maquillage'u nawet w miastach. Dzięki sportom i częstemu przebywaniu na powietrzu, finka jest zdrowa, zgrabna i doskonale zbudowana.

Liczne kooperacje i zrzeszenia kobiece charakteryzują życie społeczne w Finlandji. W roku 1911 baronowa Al. Gripenberg zorganizowała Narodową Ligę Kobiet Fińskich, która w roku ubiegłym obejmowała już przeszło 20 kobiecych stowarzyszeń. Celem owych organizacji jest przeważnie troska o matkę i opiekę nad dzieckiem.

Ponieważ Finlandja posiada nieproporcjonalnie liczną armję i mnóstwo mężczyzn pełni służbę wojskową, więc kobiety względnie łatwo tam zarobkują. Setki kobiet zajęte są w bankach; ubrane w ładne i zgrabne uniformy, sprawują one funkcje konduktorek tramwajowych i kolejowych, inkasentek towarzystw gazowych i elektrycznych, kelnerek w restauracjach, wagonach restauracyjnych i na okrętach. Natomiast nie widzi się tu kobiet-policjantek.

Finka jest wysportowana i silna, wrazie potrzeby doskonale potrafi dać sobie radę zapomocą sztuki bokserskiej, nawet z mężczyzną.

Kobiety fińskie doskonale zdają sobie sprawę, że czeka je jeszcze wiele trudności na drodze do pozyskania pełnego równouprawnienia z mężczyznami. Do celu tego jednak dążą wytrwale pod hasłem: „przez obowiązki — do praw!”.

R. C. H.

SZKOŁA NOWOŻYTNYCH SPARTANEK

Bardzo ciekawe dane o zmianach, zaszłych w organizmie i ustroju psychicznym kobiety pod wpływem nowoczesnych sportów, zdrowego wychowania fizycznego i obecnego higienicznego ubrania, ogłosiła w Ameryce dr. Clelia Duel Mosher, profesorka uniwersytetu w Leland-Stanford.

W ciągu swej 34 letniej praktyki dr. Mosher zebrała materiały obserwacyjne ze zbadanych w tym czasie 12 tys. pacjentek. Wynika z nich, że w czasie panowania mody gorsetów, wysokich kołnierzy, wysokich obcasów i sztywnych, długich, uniemożliwiających swobodę ruchów sukien — połowa kobiet była chora. Te zaś nawet, które nie uległy poważniejszemu, dłuższemu cierpieniu, odczuwały silne zaburzenia w czasie słabości miesięcznej i były w tym okresie niezdolne do pracy.

W tym czasie też panowała — razem z teorią o „łżejszych” mózgach kobiecych — teoria, że kobieta nie zdolna jest do głębokiego, racjonalnego oddychania! Przyzwyczajenie złego oddychania, przy płucach, zduszonych gorsetem, stało się powoli dziedziczne.

Obecnie, od lat 20-tu, nastąpiła zupełna zmiana. Gimnastyka i lekka atletyka nauczyły kobietę oddychać właściwie; sporty wzmocniły jej mięśnie; luźne, krótkie, lekkie sukienki dały jej swobodę ruchów, umożliwiły dostęp powietrza i światła do skóry.

I odrazu zaznaczyła się zmiana w ustroju organicznym i psychicznym. Kobiety przestały cierpieć na epidemiczną dawniej „blednicę”, spadły do minimum choroby organów kobiecych. Młode dziewczęta, studjujące na uniwersytetach, nie tylko pracują umysłowo, ale nie przerywają ćwiczeń sportowych w okresie słabości miesięcznej, bez żadnego uszczerbku dla zdrowia.

Tymczasem w biurach, fabrykach i zakładach przemysłowych panuje do dziś w Ameryce zwyczaj, pozwalający kobietom przerywać na 3—4 dni pracę co miesiąc. Dr. Mosher występuje przeciw temu b. energicznie, twierdząc, że jest to zadawniony przesąd, że każda zdrowa kobieta może w tym okresie pracować zupełnie normalnie. Ten zaś przywilej szkodzi jej tylko. Każdy pracodawca uważa wskutek tego kobietę za gorszą pracownicę, a tem samem gorzej ją wynagradza i zamyka jej dostęp do wyższych, kierowniczych stanowisk.

Dr. Mosher otworzyła obecnie „laboratorium higieniczne”, które nazwała „szkołą spartanek”. Prowadzone są w niej wykłady racjonalnego odżywiania i ubrania, oraz systematyczne ćwiczenia gimnastyczne, ruchowe, głębokiego oddychania i sportowe, wskazane przez higienę. Rezultaty zdrowotne tej szkoły są doskonałe. Wiele kobiet, które uważały się za poważnie chore, odzyskało po paromiesięcznym stosowaniu systemu dr. Mosher zupełne zdrowie i siły do pracy.

N. J.



Urna z sercem Kościuszki, w zamku Rapperswilskim, pomieszczona we wnęce pokoju, w którym przechowywano pamiątki po Tadeuszu Kościuszcze, wystawiona na widok publiczny przed przeniesieniem do kraju

MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA PRAC KOBIECYCH W RZYMIE



W listopadzie r. b. w Rzymie ma się odbyć wystawa pracy kobiet, urządzona staraniem Związku międzynarodowego kształcenia kobiet.

Na wystawie tej ma być reprezentowany dział polski, organizowany przez p. Marię Zaborowską, naszą znaną działaczkę społeczną.

W związku z tem, w Warszawie urządzony był publiczny pokaz prac, zakwalifikowanych na wystawę w Rzymie.

Pokaz obejmował prace z zakresu koronkarstwa, tkactwa, haftu i artystycznej sztuki zdobniczej kobiet polskich.

Pokaz powyższy wzbudził powszechne zaniepokojenie.

Niedawna wystawa Sztokholmska, na której polskie ekspozyty, a szczególnie przesiłki kilimy zyskały ogólny poklask, pozwalają wróżyć przedsięwzięciu pani Zaborowskiej niemiłe powołanie.

R. C. H.

BELGIJSKA GIOCONDA WIELKIEJ WOJNY

Z ogromną uroczystością odbył się w Brukselli pogrzeb „matki Tack”, jednej z najbardziej znanych postaci kobiecych w Belgji podczas wielkiej wojny.

Pani Tack, córka starej rodziny belgijskiej, zaślubiła oficera szwajcarskiego; owdowiawszy, powróciła do ojczyzny i zamieszkała we własnej willi w okolicach Niewkapelle nad Izerą.

Tam zastała ją wojna. Dzielna kobieta, pomimo że liczyła już 78 lat, nie chciała za nic opuścić swego domu. Pod ogniem armat „trzymała się” w swojej willi aż do zimy 1916 r.; wreszcie gdy Niewkapelle znalazło się w samym odcinku frontu, wyprowadziła się do... okopów.

Niezmordowana sanitariuszka, matka i opiekunka żołnierzy, pielęgnowała rannych, żywiła walczących — roznosząc, jak markietanka, czekoladę, wino, kawę i papierosy.

Cały front nad Izerą znał ją, nazywając „kochaną mateczką Tack” lub żartobliwie „Giocondą”. Mieszkała, gdzie się dało, często w podziemnych schronach betonowych, gdzie odwiedzili ją w tym czasie liczni dostojni goście: — królestwo belgijskie, książę Walji, ks. de Tack i wszyscy ministrowie. Tam też otrzymała krzyż kawalerski orderu Leopolda.

Wreszcie, gdy działalność artylerji i gazów trujących zamieniła front nad Izerą w prawdziwy cmentarz, ministerstwo wojny przeniosło „matkę Tack” prawie przemocą do De Panne, gdzie pozostała do końca wojny, nie przerywając zresztą, swej działalności.

DZIEŃ STUDENTKI AMERYKAŃSKIEJ

W numerze 35-ym podawaliśmy szczegóły z życia studentki amerykańskiej. Przyjrzyjmy się teraz, jak wygląda pokratkowany zajęciami dzień codzienny tych dziewcząt.

O godzinie siódmej i pół drzwi wielkiej jadalni zostają zamknięte, a studentki, które spóźniły się nie są wpuszczane.

Śniadanie prawdziwie amerykańskie: przede wszystkim duża szklanka świeżej wody i owoce. W zimie przeważnie pomarańcze, na wiosnę i w jesieni jabłka i winogrona; różne nieznane nam potrawy, jak: corn flekes, puffedrice, shredded wheet — obficie zlane śmietanką i cukrem, mają wielkie powodzenie; pozątem jaja na miękko, tartinki z konfiturami; na zakończenie herbata, kawa, lub mleko. Po takim sutym posiłku studentka ochotczo zabiera się do studjów. — Podczas śniadania panuje wesoła, miła atmosfera. Przy stole rozbrzmiewa śmiech i ożywiona rozmowa; studentki opowiadają o swych planach, zajęciach. Kilka studentek wybiera się do Bostonu pociągiem, który odchodzi o jedenastej, dla załatwienia sprawunków; jedna ze studentek ma randkę z młodym studentem, czeka go o 2-giej — tak gawędząc, studentki wracają do swych pokojów, gdzie panuje zupełny nieład porzucone na prędce pantofelki i pyżamy.

By odpędzić samotność i melancholję, nakręca się gramofon, tak zwany „Vietrola“, drzwi sąsiednich pokojów otwierają się na dźwięk charlestona, studentki z zapalem tańczą ze sobą. Godzina osma, — studentki I-go kursu nakładają kalosze i ciepłe okrycia; brnąc po śniegu, myślą o dzisiejszych lekcjach. Narazie wydaje im się to ciężkiem; gdyby rodzice nie byli tak wymagający, by dać im wyższe wykształcenie, o ileż wołałyby spędzać spokojnie czas na brzegu morza, lub w ładnej fermie rodziców; lecz trudno — Treshmenka jest nowicjuską, jest studentką pierwszego kursu, ma zatem czas przyzwyczaić się.

S. S.

NOWY REKORD ŚWIATOWY ANGIELSKIEJ PILOTKI

Zmysł praktyczny anglików dąży przede wszystkim do uzyskania każdego nowego wynalazku dla potrzeb życia codziennego.

Kierując się powyższą zasadą, znana angielska pilotka Miss Eliot Lynn postawiła sobie za zadanie jaknajszerszą popularyzację lekkich aparatów lotniczych, tak zwanych awionetek, dla przewozu pasażerów i transportu towarów.

W tym celu Miss Lynn nie przestaje ćwiczyć się w lotach na awionetkach. Zdobywając na nich coraz to nowe rekordy, już to wytrzymałości, już to praktyczności w zastosowaniu ich, wytrwała pilotka przyczynia się w niemałym stopniu do rozpowszechnienia swoich ulubionych aparatów.

Angielska prasa donosi, że Miss Lynn znowu pobiła światowy rekord wysokości, osiągając na awionetce Avo-Avian wysokość 6512 metrów.

R. C. H.



Miss Eliot Lynn

ŻŁOBKI DLA NIEMOWLĄT

W dniu 30 sierpnia r. b. p. minister pracy i opieki społecznej podpisał rozporządzenie, na mocy którego do dnia 1-go stycznia 1928 roku w całym szeregu zakładów państwowych i przedsiębiorstw prywatnych mają być uruchomione żłobki dla dzieci pracowników owych zakładów.

Rozporządzenie powyższe zostało wydane na podstawie porozumienia między ministerstwem Pracy, a zarządami owych instytucji państwowych i właścicielami przedsiębiorstw prywatnych, wymienionych w spisie oficjalnym.

Należy podkreślić z uznaniem zrozumienie społeczne właścicieli tych zakładów pracy, którzy zgodzili się wprowadzić u siebie żłobki.

Dalsze spisy przedsiębiorstw, obowiązanych do uruchomienia żłobków, będą się ukazywały w miarę osiągnięcia tego porozumienia między ministerstwem Pracy i władzami, którym podlegają zakłady państwowe, a przedsiębiorstwami prywatnymi.

Istnieje nadzieja, że rokowania, prowadzone w tej kwestji, uwieńczzone zostaną pomyślnym skutkiem ku radości biednych matek, które odtąd, udając się do pracy, nie będą zmuszone pozostawiać swoich maleństw pod opieką starszych dzieci, lub na łasce sąsiadek.

R. C. H.

NA SZEROKIM ŚWIECIE

Niemcy. Począwszy od 1-go października r. b. w Niemczech przestaje istnieć policja obyczajowa, na zasadzie nowego prawa, regulującego walkę z chorobami wenerycznymi.

Pani Dr. Luders, posłanka, przedstawiła Reichstagowi następujący projekt prawa: Parlament uchwali natychmiast prawo, na którego mocy Niemka, zaślubiająca cudzoziemca, nie traci swojej narodowości, o ile nie rzeknie się jej dobrowolnie, lub o ile dana para małżeńska zamieszkuje Niemcy. Wrazie zamieszkania zagranicą, utrata narodowości następuje tylko w tym wypadku, gdy według praw, obowiązujących w danym kraju, kobieta zdobywa przy należność państwową swojego małżonka.

Powyższy projekt prawa został przyjęty jednogłośnie.

Organizacja niemieckiej policji kobiecej została faktem dokonanym. Narazie została ona wprowadzona w Prusach i Saksonji. Korpus policji żeńskiej w Berlinie składa się z dwudziestu kobiet. Pani F. Wieking została mianowana radczynią berlińskiej policji kryminalnej.

W K o l o n j i pierwsza kobieta została mianowana sędzią okręgowym: jest to pani Dr. Hagemeyer.

I r l a n d j a. Według statystyki centralnego biura wyborczego w Dublinie podczas ostatnich wyborów w Irlandji ilość kobiet głosujących była znacznie większą, niż w czasie wyborów poprzednich. Naogół do urn wyborczych kobiety stawiały się liczniej, niż mężczyźni. Mimo to do Parlamentu zostały wybrane tylko cztery kobiety.

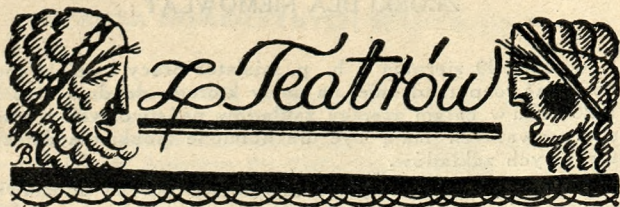
T u r c j a. Minister Oświecenia Publicznego wydał rozporządzenie, na mocy którego wszystkie kobiety w Turcji, nawet należące do plemion koczujących, będą obowiązane wysłuchać specjalnych wykładów, dotyczących się pielęgnacji dziecka, higieny, socjologii, wreszcie... reformy stroju i obowiązkowego noszenia kapelusza.

Natomiast rząd turecki postanowił nie dopuszczać kobiet do wyborów do Zgromadzenia Narodowego.

S y r j a. Pewna część kobiet syryjskich, pozostających pod wpływem reformatorskiego ruchu w Turcji, postanowiła śladem swoich sióstr tureckich zaprzestać noszenia zasłonu na twarzy. W tym celu złożyły one rządowi syryjskiemu memorandum, w którym wyjaśniły swoje dążenia i prosiły o opiekę przed ewentualnymi napaściami ze strony fanatycznie nastrojonej ludności.

Jednak Ulema, główny urząd religijny w Syrii, zaprotestował gorąco przeciw „rozpustnym uroszczeniom“ kobiet. Gdy niezadowolone z takiego obrotu rzeczy syryjki zapragnęły urządzić wiec protestacyjny, — policja na rozkaz rządu — sromotnie je rozpędziła.

I n d j e. Według statystyki Urzędu Zdrowia Publicznego w Kalcutie w Indiach śmiertelność noworodków w kraju tym wyraża się niewiarogodną cyfrą 308 na tysiąc! Ilość matek, umierających przy porodzie, musi być również olbrzymia, skoro śmiertelność kobiet w wieku 15 do 20-tu lat jest pięć razy większa, niż śmiertelność mężczyzn w tymże wieku. Powodem owej śmiertelności ma być w pierwszym rzędzie zwyczaj wczesnego zamążpójścia dziewcząt hinduskich.



TEATR NARODOWY

„Pan Damazy”, komedia w 4 aktach Józefa Blizińskiego.

Właściwie nie należałoby pisać o wszystkim dobrze już znanym „Panu Damazym”, a tylko o teatralnym ujęciu tej miłej i zawsze jeszcze żywotnej komedii. Chciałoby się przede wszystkim powiedzieć: Jakże szczęśliwi jesteśmy, że możemy widzieć w tej sztuce Frenkla i Kamińskiego! Bo przecież to oni właśnie są żywym sercem tej sztuki, są arką przymierza między nami, a dawnymi laty. Bowiem pan Damazy i rejent Bajdalski przypadli już w zawierusze mnogich lat i nie należą do grona naszych żywych, czy papierowych choćby znajomków. Nawet na głuchej prowincji wymarli dawno te szlagony o złotym sercu i ci prymitywnie chytrzy rejenci.

Powie ktoś, że nie całkiem tak jest, jak tu dowodzę, bo pan Damazy i pan Bajdalski są bodajże zasadniczymi typami naszej komedii, przechodzącymi z rąk do rąk, od Fredry do Blizińskiego, od Blizińskiego w nasze współczesne komedjowe życie. Nie da się jednak zaprzeczyć, że dziś zapodział się ten bądź co bądź wygodny szablon. Zróznicowały się, skomplikowały się typy i charakter, weszły nowe pierwiastki w kompleks spraw społecznych i rozszerzyła się skala zainteresowań w każdej dziedzinie. Namotało się, pomierzwiło nasze życie dzisiejsze, i współczesny pisarz nie potrafi nas już prowadzić gładziutką niteczką Arjadny.

Ale dlatego właśnie słuchamy komedii Blizińskiego z takim miłym zdziwieniem, dlatego zachwycamy się łatwością rozwikłania, zawiśnięgo poprostu od dobroci serca pana Damazego. Bo według pradawnych praw etycznych zło i podstępna intryga — muszą i w komedii Blizińskiego wyjść na jaw, tylko, że nikt nie zostanie ukarany, jak na to — Bogiem a prawdą — zasłużył. Złote serce pana Damazego tak pokieruje sprawą, by wilk był syty i owca cała, a niegłodna. A my jesteśmy zadowoleni i niepomierne uradowani, niczem dzieci, gdy bajka kończy się dobrze. Komedja Blizińskiego działa na nas, jak przyjemne głaskanie po rozwichrzanej czuprynie.

Oczywiście, mogłoby być inaczej, mniej radośnie i mniej przyjemnie, gdyby „Pana Damazego” nie grano tak znakomicie. Frenkiel i Kamiński potrafili dla gry aktorskiej obudzić taki entuzjazm, jakiego już dawno nie okazywaliśmy. Widząc tych dwóch artystów w „Panu Damazym”, zdajemy sobie dopiero sprawę, że indywidualność aktorska jest jednak jednym z najważniejszych postulatów teatru. Wyrównanie poziomu aktorskiego, co jest tendencją dzisiejszego teatru, przyczynia się wprawdzie do gładkości spektaklu, ale w rezultacie doprowadza do osłabienia zainteresowań widza.

I tu leży może najistotniejsza przyczyna tej oziębłości, z jaką dzisiejsza publiczność odnosi się do teatru. Tu leży sekret tej siły przyciągającej, jaką posiada kino. Kino zdobywa bowiem przede wszystkim — indywidualnością aktorską. Niewątpliwie reżyserskie zdobycze we współczesnym teatrze stały się już niezbędne jako wyraz estetyki teatru; ale z trwogą należy patrzeć w przyszłość, jeżeli teatr nie potrafi wychować wielkich artystów. Pręciwość gry aktorskiej — to właśnie ów zmierzch teatru, któremu usiłujemy przeciwdziałać.

Bo spójrzmy tylko, kto z młodszego pokolenia aktorów zastąpi Frenkla, Kamińskiego, Solkiego, Siemaszkową, Wysocką, Przybyłko-Potocką?

Wracając jednak do „Pana Damazego”, dodać musimy parę komplementów dla pań: Rotterowej, Majdrowiczówny, Gromnickiej i Mogilnickiej, oraz panów: Solarskiego, Hnydzińskiego i Tadeusza Frenkla. Reżyserja Kamińskiego trzymała w ryzach zespół, a starannie opracowała szczegóły. Dekoracje Drabika dostrajały się do całości tego nadwyraz udanego przedstawienia.

TEATR LETNI

„Radość kochania” sztuka w 4 aktach L. Verneuil'a. Przekład Janiny Poraskiej.

O „sztuce” Verneuil'a można by powiedzieć krótko: — jest niepotrzebna! — Bo kogo może obchodzić ta głupia, dzika bohaterka Yorrah, propagująca despotyzm miłości?

P. Verneuil miał, zdaje się, zamiar przeciwstawić chłód erotyczny Zachodu — namiętności Wschodu, i dla zmanifestowania swoich „głębokich” spostrzeżeń wprowadził ową panią Yorrah, owe zwarjowane „wschodnie niebezpieczeństwo”. Cóż z tego, że grała ją Cwiklińska? Yorrah nie tylko nie zdołała zdobyć naszej sympatii, lecz, wprost przeciwnie, raziła nas karykaturalnością takiej żywiołowej „kobiecości”.

Przypomnieliśmy sobie wprawdzie Sienkiewiczowski: „wiem, jaka ona jest, ale nie mogę od niej oderwać serca”, lecz, doprawdy, mimo cały szacunek dla takiego postawienia sprawy, oświadczyć musimy, że Verneuil'owska „radość kochania” jest już bezwarunkowo absurdem. A przytem — aż cztery długie akty tych psychologicznych nonsensów! — Może wysłoby coś z tego w powieści, jako że powieść jest z natury swej bardziej cierpliwa. W teatrze — reagowaliśmy ziewaniem i zniecierpliwieniem. Nie mogliśmy i nie chcieliśmy zrozumieć Roberta Vallier, który znosił miłość Yorrah, a co gorzej, wyrwawszy się raz szczęśliwie, znowu do tej miłosnej katongi powraca.

Cwiklińska umożliwiła nam, wprawdzie, wysłuchanie tej sztuki, ale i ją zgłębiła głupota Yorrah. Owszem — wszyscy grali dobrze, i Brydziński, i Łuszczewski, i Gawlikowski, i Jarszewska. Suknie Cwiklińskiej były prześliczne; dekoracje Drabika doskonałe; ale naprawdę szkoda było czasu i atlasu. Za taką „radość kochania” — pięknie dziękujemy!

h. n. (w zastępstwie).

Z WYDAWNICTW

Ukazał się 3-ci numer miesięcznika „Kultura Ciała” pod redakcją dr. J. Świtalskiej (wydawnictwo „Bluszcz”), zawierający nader ciekawe artykuły wybitnych przedstawicieli świata lekarskiego:

Hartowanie — dr. J. Mozołowska.

Bez pracy mięśni niema zdrowia — dr. Fruchtman.

O krwawieniach u kobiet — dr. Giżycki.

Kosmetyka w Polsce — dr. Biernacka.

Jak uzyskać i zachować smukłą postać — dr. J. Świtalska

Ten ostatni artykuł w sposób łatwy i praktyczny rozwiązuje problem obchudzania.

Zewnętrzna szata piśma jest przepiękna. Ilustrował Norblin

Pismo to powinno się znaleźć w ręku każdej współczesnej kobiety.

* * *

Na półkach księgarskich ukazała się „Książka Gospodyni Wiejskiej”. Pożyteczna i pouczająca ta książka zainteresuje niezadowolone kobiety, zastanawiające się nad swymi obowiązkami, chętnie przyjęta będzie przez czytelniczki i przyniesie im niezawodną korzyść. Treść książki „Gospodyni Wiejskiej” dowodzi, że redaktorka jej p. W. Żebrowska zdaje sobie dokładnie sprawę z braków u ogółu naszych kobiet i pragnie im przeciwdziałać.

* * *

Drobnych rękopisów nie zwracamy. Z obszerniejszych nowel, artykułów i t. d. ulegają zwrotowi tylko prace, zaopatrzone znaczkami na odpowiedź i wyraźnym żądaniem odesłania wrazie nieprzyjęcia.



COŚ NIECOŚ O GENTELME- NACH WARSZAWSKICH I ANGLOSASKICH

A poza domem...

Doprawdy, na pierwszy rzut oka ma się wrażenie, że anglik wcale, ale to wcale nie zwraca uwagi na wszystkie „obce“ ladies, poznane dopiero co, czy trochę przedtem, na wszystkich tych placach sportowych, na wycieczkach, czy w salonie.

Wita się z nimi szeroko, nieco zamaszycie, po męsku.

Nie patrzy, ani się im natarczywie przygląda, ani żadnych komplementów, nadszkakiwań, czy jakichś aluzji! Żeby przecież były najpiękniejsze i najefektowniej ubrane! Nie widzi, poprostu nie widzi kobiet.

Najwyżej zareaguje jakoś jaskrawiej, gdy nowa znajoma zadziwi go — wspaniale odbitą piłką, wygranym z łatwością game'm, czy wogóle jakimś wyjątkowo zgrabnym posunięciem się na boisku. Anglik ma swoje uprzywilejowane, strzeżone zazdrośnie, męskie sporty: criquet, foot-ball, czy nawet owe łapanie łososi, kiedy trzeba włożyć po pas, w sam wir rzeki.

Kobiety nie biorą udziału w tych przyjemnościach. Z chwilą jednak, gdy anglik wychodzi na wspólny teren zapasów sportowych, wszystkie wspólnie wygrane game'y staną się zasługą tylko lady. Gentleman będzie podawał jej piłki tenisowe, nosił za nią wsład wszystkie laski golfowe, i zawsze ustąpi jej z drogi ze swem autem, gdy spotkają się na skrzyżowaniu dróg.

Kiedy nadchodzi letnia pora (niekoniecznie ciepła!) i wszyscy wyruszają w dalszą, tak dziś rozpowszechnioną i modną wycieczkę autami, z namiotami, w głąb kraju, — do lasów, nad jeziora, w góry — angielski wiedzą doskonale, że w każdym, przypadkowo nawet spotkanym, towarzyszu wyprawy, będą miały natychmiast troskliwego, a uczciwego opiekuna, który nie pozwoli nigdy, aby „pracowały“ ciężko podczas wakacji. On będzie rozpalał ogniska, wyruszał na zdobycie wiktuałów, dźwigał taboiki.

A kiedy zechce się przypodobać i zapragnie zwrócić na siebie specjalną uwagę — robi to z nieporównaną kokieterją Adama.

Okaże się wówczas, że wszystko doskonale dojrzał i zauważył od pierwszego spotkania, że niewiadomo kiedy i jak, ale dowiedział się i zapamiętał, co jego „wybranka“ lubi, a czego nie znosi: jakie potrawy, owoce, kwiaty, słodycze; jakie sporty, książki, rozrywki...

I wówczas nie będzie końca na zmanifestowanie swej sympatii, a wszystko to, zresztą, będzie czynione w formie tak subtelnej i naturalnej, że nikogo nie wprawi w zakłopotanie.

Dopiero, kiedy mądry syn Albjonu będzie pewny wygranej — wyzna swej ukochanej miłość w słowach jaknajprostszych, niemal lakonicznych. I znowu żadnej afektacji zewnętrznej!

Narzeczeni, kochankowie, czy młodzi małżonkowie nie chępią się publicznie swem szczęściem, nie obnoszą po ludziach swoich czułości i przymilań się, w towarzystwie są normalni i naturalni.

Jeżeli już rozpisałam się o miłościach „zimnego“ gentelmana, nie mogę pominąć jego tkliwego

przywiązania do matki i czarującego wprost uczucia do siostry.

Siostra, dla podrastającego anglika, to zawsze kochane dziecko, którem się trzeba trochę opiekować. To młodszy koleżka w młodości, a wierny przyjaciel do siwych włosów.

Z nią się grywa od dziecka w rozmaite game'y, wozi się ją wszędzie ze sobą w koszyku, lub ucze-pioną ztyłu, na motorze; z nią pierwszą tańczy się i próbuje swych talentów towarzyskich w salonie.

Kiedy wychodzi za mąż, to brat załatwia dzie-siątki spraw i formalności, związanych z uroczystością weselną; aż wreszcie, kiedy ma dzieci, wuj kocha je i rozpieszca, jak własne.

Dlatego anglik, który posiada siostry, tak pręd-ko żywa się i dostosowuje do swej młodej mał-żonki!

Dlatego, zapewne, angielski, widząc dokoła tylu przykładnych małżonków, gdy trafią czasem na naj-gorszego (po wojnie zdarza się to często), dążą tak pochopnie, bez żadnych skrupułów, do rozwodu.

* * *

Nie pierwszy raz zwiedzam Anglię, ale chyba nigdy tak, jak tych wakacji, nie przyjrzałam się ży-ciu i zabawom młodzieży płci obojga.

Danem mi było w tym roku przeciąć wyspę Albjonu wzdłuż i wszerz, minąć hrabstwo za hrab-stwem, miasto za miasteczkiem, dotrzeć aż do Szkocji i dalej w głąb... no i nigdzie, ani na lekarstwo, nie spotkałam pewnej kategorii, narzucających się kobietom — cynicznych mężczyzn!

A przecież w takiej wędrowce na przełaj, auta-mi, podczas parudniowych postojów w skromnych oberżach przydrożnych, czy w eleganckich hotelach, rozsianych obficie na plażach, w górach, lasach, w pobliżu cudownych jezior — mężczyzn, wyjeżdża-jących tłumnie na wywczas, spotykało się bez liku.

I dziewcząt, kobiet młodych (urzędniczek, stu-dentek, ekspedjentek), udających się na łono przyro-dy, na wypoczynek, — tysiące. I to, wbrew ustalonej opinii, kobiet ładnych, wdzięcznych, przybranych modnie i twarzowo w te barwne, specyficznie an-gielskie lub szkockie kostjумы sportowe, które... (jumperki!) niechybnie zwróciłyby zaraz uwagę pewnych dandysów.

Kiedy przypomnę sobie te szerokie, gładkie wstęgi-drogi, wijące się we wszystkich kierunkach wyspy — ujrzę na nich natychmiast istny pochód młodzieży żeńskiej i męskiej; tłumną, zorganizowaną wspaniale, wyprawę w dżungle lasów, na szczyty gór, na środek rozlewnych jezior, na piach nadmorski — wy-prawę po najcenniejsze Runo dla człowieka: po za-pas zdrowia na zimę.

Przepyszne tło przyrody, zmieniającej się, niby w kalejdoskopie, z każdym nowem hrabstwem, w in-ny coraz to bardziej porywający, krajobraz; letnie dnie; wszędzie zatrzęsienie ptactwa, kwiatów, tanich owoców, i oni — młodzi.

Oto studentki z Oxfordu ciągną całą karawaną: poprzyczepiane do aut, wagoniki-sypialnie; wyminą je z hałasem i warczeniem koledzy z Cambridge, pę-dzący na swych motorach, jak zwarzjowani. Młodzież zamożniejsza, urzędnicy lepiej płatni, czy oficerowie na wywczasach — pojadą we własnych, pięknych autach; skauci, kadeci, szkoły już pójda piechotą; samotnicy — wybiorą rowery; olbrzymy-busy popełzną wolno, wy-pchane po brzegi urzędniczkami. Mijając się wzajem-

nie — każdy okrzyknie jakieś pozdrowienie, pomacha ręką, zaśpiewa coś, i dalej. A na noc rozłoży się to wszystko namiotami, obozowiskami, pod gołym niebem w deszcz, czy przy księżycu — kędyś bliżej rzeki i miasteczka, aby było bliżej wody i benzyny.

Pomiesza się to wszystko, zbrata: studentki, zdaje się, tuż obok urzędników; ekspedjentki tylko przez drogę od studentów i t. d. Zapłoną ogniska, rozśpiewają się głosy, rozpocznie się gotowanie, pranie, suszenie się i czyszczenie, naoliwianie „rumaków”.

Swoboda niemal utopijna!

Najmniejszego zażenowania, czy nieufności! Nikt nikogo nie zaczepia, ani na nikogo nie zastawia się, żadnych bezecnych żartów, ani prowokowania dziewcząt. A jeżeli się i nadarzy — to sporadyczne wypadki.

Każdy pragnie gorącej filiżanki rosółu i wypoczynku. Wszyscy są zajęci swoimi maszynami i marszrutą na jutro.

Zapewne niejedna bajka życiowa weźmie tu swój początek. Zapewne niejedna para młodych, spotkawszy się niespodzianie na tych drogach, spojrzy sobie głęboko w oczy i zapragnie już pozostać przy sobie — nazawsze!

Przecież to życie!

Nie widzi się, jednak, ścigania, polowania, tropienia.

Nie wyczuwa się tej specyficznej, drażniącej atmosfery.

U nas? — nie do pomyślenia!

Ależ, przecież, toby dopiero były cacane „pirsza klasa” wywczasy, gdyby tak można było puścić się w ślad — w góry, do lasów, na polany — za naszymi ślicznymi dziewczętami!

I to bez najmniejszej kontroli: niktby się przecież ani zwiędził, co, jak i gdzie! i cóż za obfitość wydarzeń i wrażeń!

* * *

Och, wiem, widzę najwyraźniej, jak to się zaraz oburza, obraża, uraża i zakrzyżają gentlemenowie warszawscy: „Co tu nam pani będzie wyjeżdżała ze swoimi Anglikami! Także porównanie! John-Bulle kratkowane! Bokserzy ze skórą hipopotama! My, polacy, słyniemy ze swego temperamentu! Czy pani rozumie? Temperament—to najcenniejszy dar niebios! Oni—tak, a my sobie—tak...”

I nie zazdroszczę niczego moźnym anglikom! Doprawdy—niczego. Wszystko jest u nas do przeprowadzenia i odrobienia, a ziemia nasza—przepiękna! I przecież nie o samych tylko tych gentlemenów chodzi! Dla angielek—są ideałem mężczyzny. Dla cudzoziemki zawsze wydają się zbyt jednostronni i denerwująco szowinistyczni. A jeszcze,—jeżeli dodamy kwitnący tu snobizm i do przesady rozwiniętą pychę narodową—niekoniecznie nawet są zaraz wszyscy tak sympatyczni! Raczej—przeciwnie.

Zazdroszczę im tylko tego—czegoś—tak bardzo cennego w życiu: tej właśnie kultury erotycznej, do której my w Polsce niewiadomo, czy kiedykolwiek bądź wogóle dojdziemy!

Hanna Skarbek.

Oban. Szkocja. Sierpień.



SKÓRKI KRÓLIKÓW I ICH WYPRAWIANIE

Hodowcy królików mają często kłopot, nie wiedząc, co począć ze skórkami króliczymi, pozostającymi po zabiciu tych zwierzątek. A przyznać trzeba, iż w dzisiejszych czasach jest to produkt godny uwagi, poszukiwany na rynkach kuśnierskich. Otóż najpewniejszym byłoby powierzenie wyprawy wymienionych skórek wytrawnym garbarzom. Nie zawsze jednak jest to możliwe do wykonania. Trzeba zatem spróbować domowym sposobem je wyprawiać.

W tym celu skórkę, po zdjęciu z królika (co się czyni podobnie, jak z zającem) należy przeciąć na brzuchu i rozciągnąć na deseczce, sierścią do dołu, przybijając dookoła gwoździkami. Po dokonaniu tej czynności należy tęnym nożem delikatnie zeskrobać ze skórkę tłuszcz i krwawe żyłki. Następnie trzeba przyrządzić rozczynek do wyprawy.

W litrze wrzącej wody rozpuszczamy 100 grm. ałunu i 25 gr. soli kuchennej; po zagotowaniu, maczamy w wymienionym rozczyńcu gałganek, lub gąbkę i mocno nacieramy rozpiętą skórkę, starając się o ile możności dobrze wcierać rozczynek. Następnie skórkę pozostawiamy w spokoju, dając jej przeschnąć w miejscu przewiewnym i suchym (byle nie przy piecu, bo to wpływa ujemnie na dobroć towaru). O ile pierwsze nacieranie skórkę wykonaliśmy rano, należy wieczorem tegoż dnia czynność opisaną powtórzyć, i powtarzać tę procedurę w ciągu 5 — 7 dni; innymi słowy, póki skórkę nie zbieleje.

Gdy to nastąpi, przesuszamy skórkę gruntownie, poczem zdejmujemy ją z deski, rozciągamy rękami we wszystkie strony i wygniatamy starannie, aby nadać jej pożądaną miękkość. Gdyby, mimo wszystko, skórkę szeleściła, t. j. nie okazała się dostatecznie miękką, wówczas trzeba natrzeć ją olejem rycynowym, albo zrobić kłajster z żytniej mąki i wstawić go do ciepłego pieca, aby skwaśniał, poczem papką tą pokryć grubo skórkę i pozostawić w tym stanie przez dwa dni. Gdy następnie usuniemy ów kłajster, skórkę zyska bezwzględnie na miękkości. Aby zakończyć ostatecznie wyprawę, trzeba jeszcze skórkę natrzeć kredą, a w sierść wetrzeć dość gorący piasek. magnezję lub otręby, w celu nadania lepszego połysku i puszystości, co następuje po wytrzeptaniu skórkę, w ten sposób przygotowanej.

Nie ulega wątpliwości, iż wymieniony, najbardziej, że tak powiem, dostępny sposób wyprawiania skórek, wymaga również pewnej wprawy, i dlatego nie należy się zrażać, gdyby pierwsza skórkę wyszła nie tak, jak byśmy tego chcieli. Uważam za pożyteczne przytem zaznaczyć, iż najlepsze futerka bywają zimowe: inne mają włos słabszy.

Zamiast nacierania skórek rozczyneką ałunową, można z powodzeniem moczyć je w tym rozczyńcu, wymaga to jednak więcej ostrożności i większej wprawy. Trzeba więc rozpuścić w trzech litrach wody 400 gr. ałunu i 200 gr. soli kuchennej. Po zagotowaniu i ostudzeniu, kładzie się w ten rozczynek przeznaczone do wyprawy skórkę na przeciąg dwóch dni, często je przewracając. Po dwóch dniach z rozczyńcu skórkę się wyjmuje, rozczynek nagrzewa, poczem znów opuszcza się weń skórkę.

Po dwóch dniach skórkę znów się wyjmuje, wyżyma się, jak bieliznę, i wiesza w miejscu prze-

wiewnem. Gdy skórki podeschną, rozciąga się je w rękach, lub wyciąga, trąc o kant stołu, lub na kiju, póki skórka nie stanie się miękką. W dalszym ciągu postępujemy, jak przy opisie sposobu pierwszego. Można również garbować skórki sposobem kwaśnym, t. j. trzymając je przez tydzień w zakwaszonym klajstrze z maki żytniej.

Wszystkie wymienione sposoby są łatwe do wykonania w domu. Inne—wymagają specjalnych uzdolnień garbarskich.

M. Trybulski.



HODOWLA WINOGRON

Ciecz bordoska. Płyn, wyżej wymieniony, robi się w następujący sposób: Na 100 litrów wody jeden klg. siniego kamienia, jeden kilogram wapna niegaszonego. Rozpuścić to razem, najlepiej w beczce drewnianej, byle nie w naczyniu metalowem.

Na wino powyższa ciecz rozcieńcza się wodą do połowy, lub nawet i więcej.

Szkodniki. Wielkie szkody w plantacjach wina robią myszy, szczury i krety. Pierwsze, to jest myszy i szczury, robią największe szkody zimą, podczas gdy winorośl jest okryta ziemią; kopią sobie dziury w tej ziemi, dostają się do korzeni i pędów, nadgryzając i dziurawiąc takowe.

Najwięcej robią szkody, o ile zaczną gryźć nie jesienią, lecz pod wiosnę, gdyż takie wino bardzo płacze; po odkryciu w nadgryzionych miejscach ubywa dużo soków ze szkodą całej rośliny.

Jak tępić myszy i szczury. Najlepszym i niezawodnym środkiem są zawsze koty, to też przy każdym ogrodzie należy ich dużo trzymać, pozwalając im chodzić swobodnie cały rok, tak po sadzie, jak i po winnicy.

Niektórzy smarują drzewa mieszaniną gliny, wapna, gnojówki z dodatkiem sadzy i kwasu karbolowego; tego myszy nie znoszą; ale to się głównie praktykuje na brzoskwiniach i morelach. Winorośl, a jeszcze lepiej jałowiec, którym okrywamy krzaki, możnaby również skropić takim płynem; będzie to wystarczającą prezerwatywą od tych gryzoniów, które nie znoszą w pierwszym rzędzie zapachu karbolu, a także innych wspomnianych składników. Trzecim szkodnikiem jest kret, który jakkolwiek, jako mieszkaniec sadów, bywa bardzo pożyteczny, gdyż tępi różne robaki, szkodliwe podjadki,—jednak w winnicy, głównie w świeżo założonej, czyni duże szkody.

Wskutek tego młode krzaki winorośli, świeżo posadzone i już zakorzenione, zaczynają upadać.

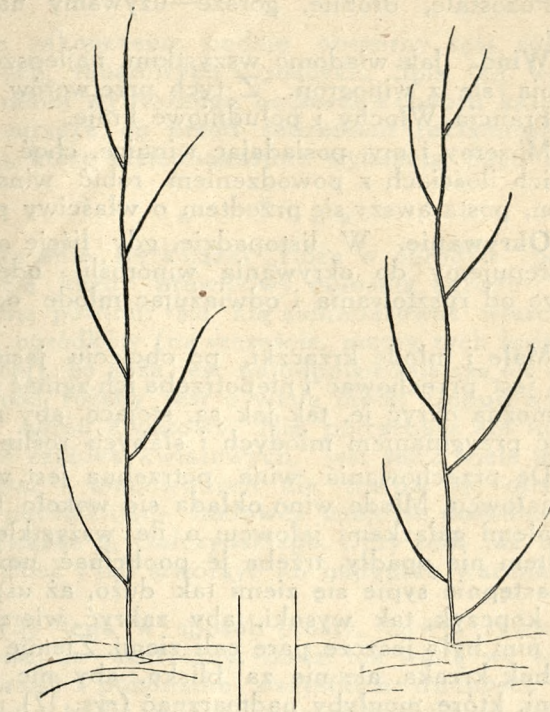
Czemu to się dzieje?

Otóż taki kret, kopiąc pod ziemią i robiąc tam sobie różne korytarze, wytwarza pod roślinkami, świeżo przyjętymi, próżnię i tem samem podrywa korzenie, które schną, i drzewko ginie.

Sposób na krety. Trudno na to dać radykalną radę, są tylko półśrodki następujące:

Rankami trzeba zacząć się i upolować parę kretów tam operujących. Można również kopać rowki między dwoma krzewami winorośli na szpadel szerokie a głębokie i długie na łokieć (rys. 16).

I przy takim dołku trzeba często pilnować, gdy kret przechodzi, a wtedy łatwo go upolować. Kret przytem nie lubi takich korytarzy, gdyż nie czuje się dosyć bezpiecznym i najczęściej wynosi się w inną część ogrodu.



rys. 16

Również kłaść można w ziemię, to jest w nory, papier, maczany w karbolineum, w pewnych odstępach od krzaka. Trzeba codziennie rano i wieczór obejść starannie młodą winnicę, zauważyć szkody, porobione przez krety, i zaraz udeptać takowe mocno nogami, lub ubić kołkiem, aby nie było próżni pod roślinami.

W starej winnicy krety są mniej szkodliwe.

Zbiory. Zanim owoc dojrzeje zupełnie, nie trzeba nigdy dotykać jagód palcami, jak również nie przerywać dojrzałych jagód, gdyż grona będą brzydkie, a jagody, dotknięte palcami, się psują.

Zbiory robi się wtedy, gdy grona są zupełnie dojrzałe, i to nie tylko od frontu i strony słonecznej, ale również i te, co są od strony muru, które dochodzą nieco później, jako mniej wystawione na oparcie słoneczną.

Najlepiej jest trzymać owoce jak najdłużej na krzakach, gdyż wtedy będą o wiele trwalsze i lepsze.

Można trzymać do października, aby tylko nie było dużych przymrozków, gdyż wino wytrzymało z powodzeniem do $\frac{1}{2}$ stopnia mrozu.

Zbiera się winogrona w duże płaskie kosze, aby ich nie pognieść, obcinając gronka nożyczkami w dzień suchy, pogodny, nie zaś rano i wieczorem, kiedy może być rosa.

Przechowanie winogron. Po zbiorach układa się winogrona cienką warstwą na matach w suchym pokoju, ale nie wystawione na operację słoneczną.

Wtedy owoce mogą leżeć miesiąc, a nawet i więcej. Chcąc je przechować dłużej, wiąże się grona za ogonki na sznurkach, choćby nawet w bardzo

suchej piwnicy, i tak je można do grudnia konserwować z powodzeniem.

Na ten cel, oczywiście, wybiera się grona najładniejsze i najokazalsze, i te, co są mniej dojrzałe.

Wieszać tak, aby jedno nie dotykało drugiego.

Pozostałe, drobne, gorsze—używamy na przetwory.

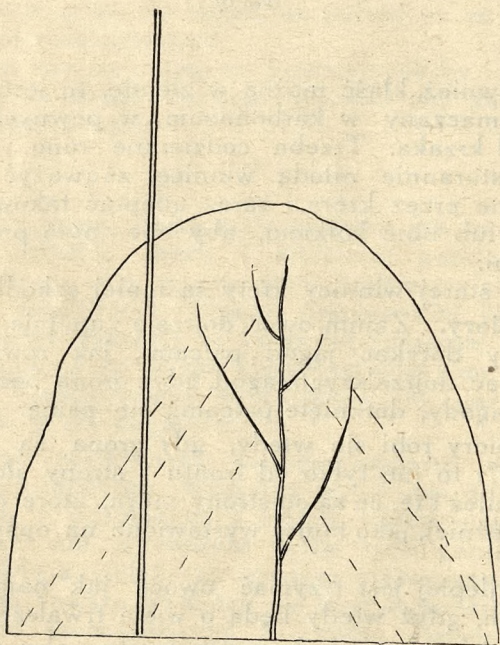
Wino. Jak wiadomo wszystkim, najlepsze wino wyrabia się z winogron. Z tych przetworów słynie cała Francja, Włochy i południowe kraje.

Możemy i my, posiadając winnice, choć w niewielkich ilościach z powodzeniem robić wino z winogron, postarawszy się przedtem o właściwy przepis.

Okrywanie. W listopadzie, gdy liście opadną, przystępujemy do okrywania winorośli, odejmując takowe od rusztowania i odwiązując młode od palików.

Małe i młode krzaczki, po obcięciu jesiennym, łatwo jest przechować i niepotrzeba ich zginać i kłaść, lecz można okryć je, tak jak są, stojąco, aby nie niszczyć przyginaniem młodych i słabych roślin.

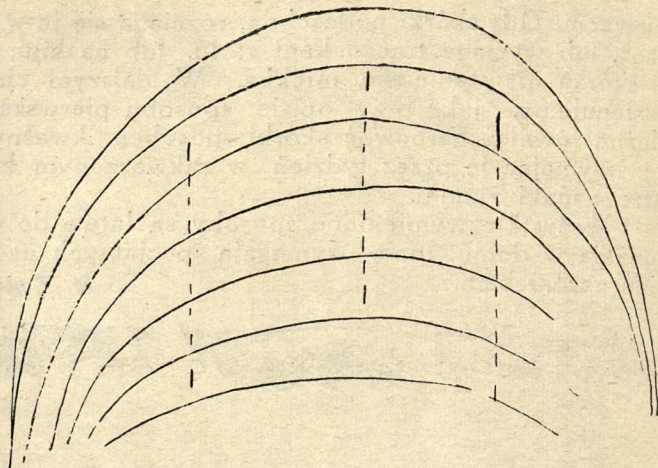
Do przechowania wina potrzebna jest większa ilość jałowcu. Młode wino okłada się wokoło krzaczka małymi gałązkami jałowcu; o ile wszystkie listki przedtem nie opadły, trzeba je poobcinać nożyczkami, następnie sypie się ziemi tak dużo, aż usypimy mały kopczyk, tak wysoki, aby zakryć wierzchołek i nad nim było jeszcze parę cali ziemi. Ziemię bierzemy obok krzaka, ale nie za blisko, aby nie odkryć korzeni, które mogłyby nadmarznąć (rys. 17).



rys. 17

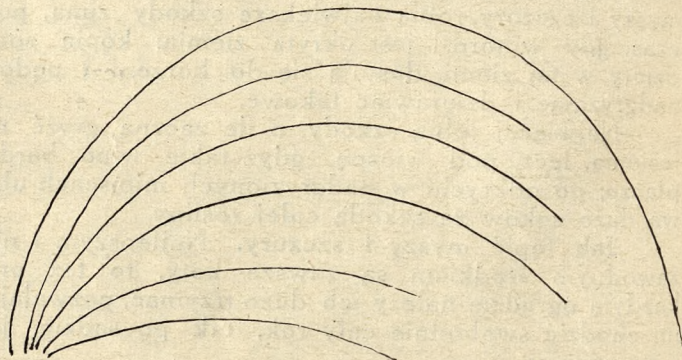
Starsze wino okrywa się, przyginając pędy do ziemi i przytrzymując takowe zapomocą kabłączków z leszczyny, lub innego giętkiego drzewa, tak mocno, aby się nie łamały.

Pędy całe, tak od spodu, jak od wierzchu, przekłada się jałowcem; przyginać trzeba ostrożnie, powoli, aby ich nie złamać, patrząc, w którą stronę najlepiej przygiąć: zwykle w tę, w którą same się łatwiej poddają (rys. 18).



rys. 18

Na jałowiec sypimy ziemię dosyć grubo, biorąc ją nie obok, jak pisałam, lecz zdala, aby nie odkryć korzeni. Sypie się ziemię w ten sposób, by wypełnić próżnię pod pędami i wtedy dopiero usypać wysoki kopiec (rys. 19).



rys. 19

Nakrycie liśćmi. Gdy już nastaną większe mrozy, okrywamy te kopczyki suchymi liśćmi i naokoło kopczyka wbijamy parę kołków dla ochrony i przytrzymania liści, które wiatr mógłby łatwo rozwiać. Można także okrywać winorośl na ścianie, podobnie jak brzoskwinie, o ile nie daje się łatwo położyć i przygiąć i grozi złamaniem. Lecz zwykle nie jest to praktykowane.

Odkopywanie. Na wiosnę, jak już mrozy miną i zrobi się nieco cieplej, mniej więcej pod koniec marca, odkopujemy te krzaki i wkrótce przywiązujemy pędy do kraty. Jałowiec się odrzuca, a ziemię równa się pod krzakami, aby nigdzie nie było dołków i nierówności. Naturalnie całe lato czuwamy, aby nie rosły badyle, a ziemia była czysta, przepuszczalna.

Zofja Lempicka.



KSIĄŻKA O RÓŻY

Przybyła nam nowa, bardzo specjalna książka ogrodnicza: „Róże w ogrodzie“ *). Książka bezsprzecznie ogrodnicza, lecz daleka od suchych wskazówek wyspecjalizowanego hodowcy. Bo też pisze ją nietylko hodowca, ale przede wszystkim wielki miłośnik przyrody i ogrodu, badacz natury i poeta.

Sentymentem do ulubionego kwiatu przepojona jest cała książka. Napisana zajmująco i barwnie.

Czyta się ją, jak dobrą powieść, odrazu od okładki do okładki. Jak w powieści przeprowadza nas autor przez bogate dzieje róży, sięgające aż starożytności. Już Grecja mianowała różę Królową Kwiatów i powiedziała, że „róża w rozkwicie chorym powraca zdrowie, a umarłym życie“. W średniowieczu zamyka chrześcijaństwo różę w ogródku klasztornym, skąd dopiero wyprowadzi ją trubadur i „od tego czasu róża staje się znowu atrybutem pięknej kobiety i symbolem miłości“. Ponownie zaczyna królować, jako najpiękniejszy kwiat — ozdoba ogrodów i mieszkań. Zamiłowanie do niej i zapotrzebowanie na nią z biegiem czasu tak wzrasta, że „róża staje się wielkim artykułem handlu“, „nietylko jako kwiat cięty, ale też jako krzak do posadzenia w ogrodzie“. To też uwaga hodowców — początkowo zwrócona na udoskonalenie i pomnażanie odmian róż, od wieków hodowanych w ogrodach Europy, — zwraca się teraz głównie na róże, świeżo sprowadzone z Azji. Przez liczne krzyżowania otrzymują z nich hodowcy cały szereg nowych, coraz piękniejszych odmian.

W drugiej części książki uczy nas autor jak trzeba róże hodować. Oświeśla tę sprawę ze wszystkich stron i nie pozostawia żadnych niedopowiedzeń i niejasności. Daje garść pożytecznych uwag o rozplanowaniu ogrodów, ze specjalnem uwzględnieniem ogródka różanego i podaniem kilku planów małych rozarjów. Potem wskazówki, jak trzeba róże sadzić i pielęgnować.

Bardzo przejrzyste i dokładnie opracowane rozdziały o ziemi, nawożeniu, podlewaniu, cięciu. Wresz-

cie szczegółowe rozpatrzenie najważniejszych chorób i szkodników, oraz podanie sposobów kuracji.

Trzecia, ostatnia część, książki zapoznaje nas z zawiłą genealogią i klasyfikacją róż. Opisuje róże dzikie i historję powstania wszystkich ras szlache-nych.

Na zakończenie podaje obszerny spis róż wystawowych, rabatowych i pnących. Spis ten wypro-wadza mniej wytrawnego hodowcę z chaosu katalogo-wego i strzeże go przed sadzeniem reklamowanych nowości, które niejednokrotnie wykazują duże braki.

* * *

Ukazanie się książki „Róże w ogrodzie“ powita z radością każdy prawdziwy miłośnik ogrodu i róży. Specjalnie powinni się nią zainteresować właściciele małych ogródków (na szczęście, mamy tych ludzi co-raz więcej), bo róża jest najodpowiedniejszą ich ozdo-bą. Ogród różany jest o wiele mniej kłopotliwy, niż zwykły ogród kwiatowy. Nie potrzebuje ani inspek-tów, ani szkółek kwiatowych. Jest też o wiele tańszy. Trudności i niepowodzeń nie trzeba się obawiać. Każdy początkujący hodowca znajdzie doskonałe ra-dy w książce p. Gałczyńskiego. Uczy ona, jak o róże trzeba dbać i jak stworzyć im najlepsze warunki ist-nienia.

Uczy tego w sposób prosty, łatwy, żywy i, co najważniejsze — skuteczny. Budzi też wiarę we własną umiejętność i pokonanie wszystkich trudności. Poza wszystkim budzi jeszcze duże zainteresowanie do ogro-du i róży i pozyskuje wielbicieli tego pięknego kwiatu.

Jak na obecne trudne warunki wydawnicze „Ró-że w ogrodzie“ są wydane wyjątkowo starannie i ład-nie. Jednak chciałoby się wszystkie te róże, opisane tak żywo i plastycznie, widzieć w równie barwnych i świetnych reprodukcjach. Byłyby one dopełnieniem tej książki, która ma na celu nie tylko uczyć, ale też budzić kult dla różanego krzewu.

H. T.

*) „Róże w ogrodzie, jako najpiękniejsza, najekonomiczniej-sza ozdoba. Ich przeszłość, teraźniejszość, przyszłość“. Napisał Bronisław Gałczyński. Nakładem autora. Piaseczno pod Warszawą, 1927 r. cena 5 zł.

Już wyszła z druku książka

Dr. JULJI ŚWITALSKIEJ p. t.

„KOBIE TA NOWOCZESNA“

WE WSZYSTKICH OKRESACH
JEJ ŻYCIA

Książka ta w sposób rozumny i pełen doświadczenia życio-wego ujmuje zagadnienia życia kobiecego od dzieciństwa aż do starości i niewątpliwie stanie się przyjaciółką każdej nowoczesnej kobiety.

Cena 6 zł.

Z przesyłką poleconą 6 zł. 60 gr.

Skład główny w Tow. Wyd. „Bluszcz“

Po otrzymaniu 6 zł. 60 gr. przekazem, lub przez P. K. O. na konto Nr 13.555, książkę natychmiast wysyłamy.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszta pocztowe, nie wysyłamy.

Ważne dla matek i wychowawczyń!

Niezbędne dla szkół!

W KOŃCU PAŹDZIERNIKA UKAŻE SIĘ JEDYNE W SWO-
IM RODZAJU WYDAWNICTWO

P. T.

WZORY OZDÓB CHOINKOWYCH

OKOŁO STU OZDÓB NA CHOINKĘ W NATURALNYCH
KOLORACH, WRAZ Z DOKŁADNEMI OBJAŚNIENIAMI
I SPOSOBEM WYKONANIA

CENA 5 ZŁ.

Z przesyłką poleconą 5 zł. 50 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz“. Krak.-Przedm. 99.
po przesłaniu należności znaczkami pocztowymi, lub na
konto czekowo P.K.O. Nr. 13.555.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszta pocztowe, nie
wysyłamy.

JAK WYWABIAĆ I CZYŚCIĆ PLAMY

Nie dość jest wiedzieć, czem wyczyścić plamę, trzeba jeszcze umieć wziąć się do tego. Sądzę, że w wielu wypadkach, gdybyśmy miały trochę cierpliwości i znały sposób zastosowania tak prastarych nawet środków, jak benzyna,—mogłybyśmy łatwo, nie uciekając się do drogich pralni chemicznych, poradzić same na zrobioną szkodę, zwłaszcza, że nieraz pralnia daleko, a najpierwszym i najważniejszym warunkiem w wywabianiu plam jest oczyszczenie ich natychmiast po zrobieniu. Świeżo zrobioną tłustą plamę na aksamicie, wełnie, lub jedwabiu, czyszcząc zaraz, dopóki tłuszcz nie wejdzie w tkaninę, można często zupełnie wytrzeć rozgrzaną skórą chleba, lub bułki, albo nawet kawałkiem waty, trąc lekko i długo, dopóki plama, rozgrzawszy się, sama nie wyjdzie. Plamę lepłą z syropu, cukierków i t. p. zmywa się gąbką, maczaną w ciepłej wodzie, dopóki się cukier nie rozpuści, a następnie wyciera do sucha czystym płótnem.

Czyszczenie plam powinno się robić bardzo szybko, aby wszelkie użyte w tym celu kwasy i środki, nie miały czasu oddziaływać na kolory i na tkanki. Trzeba następnie bardzo szybko płókać w czystej wodzie, wyciskać w płótnie, maglować dla wydobycia pozostałej wilgoci i dopiero przesuszoną prasować.

Wszelkie plamy na materiałach lnianych i bawełnianych najłatwiej wyczyścić mydłem i wodą; na trudnych do prania,—benzyną, eterem, lub francuską terpentyną. Trzeba po wyczyszczeniu plamy jakimkolwiek płynem, trzeć ją do sucha, aby zapobiec śladom rozciekniętym wokoło, przy wywabianiu zaś podłożyć koniecznie pod słodką—czyste płótno, a pod tłustą—arkusz szwedzkiej bibuły. Zdarza się nieraz, że napór wyczyszczonej benzyny, lub terpentyny plamy, skoro tylko pył na nie padnie, wracają, i to na większej przestrzeni. Wskutek tarcia rozcieknięty tłuszcz—skoro benzyna, lub terpentyna ulotni się,—zastyga i pozostaje w materiale. Chcąc na zawsze wywabić tłustą plamę, trzeba arkusz szwedzkiej bibuły złożyć na troje, podłożyć pod splamione miejsce, przykryć drugim, tak samo złożonym arkuszem, poczem zwilżyć dobrze wierzchnią bibułę benzyną, przycisnąć zimnem żelazkiem, a tłuszcz rozpuszczony wsiąknie w oba arkusze i plama zniknie bezpowrotnie.

Z jedwabi skuteczniej i łatwiej czyści się tłuste plamy eterem, który nie zostawia po sobie śladów. Bardzo ważnym warunkiem jest, aby płynu, użytego do czyszczenia, nie lać prosto na materiał, tylko na gałganek, którym ma się czyścić; przytem do ciemnych materiałów szmatka powinna być ciemna, do jasnych — najlepiej biała.

Amonjak, z którym trzeba postępować ostrożnie, rozcieńczając go zawsze wodą, bardzo dobrze czyści zatłuszczone i wyswiecone części męskich ubrań i grubych wełnianych okryć; nie należy ich prać w rękę, ale rozłożwszy na stole, trzeć szczotką, koniecznie po prostej nitce. Jeżeli do wywabiania plam z płóciennych, lub wełnianych materiałów, użyliśmy gryzących substancji, trzeba, po wyczyszczeniu, gruntownie wyprać splamione miejsca gorącą wodą. Przy wywabianiu plam z delikatnych kolorowych bawełnianych materiałów trzeba splamione miejsca natrzeć żółtkiem od jaja, a następnie prać w odwarze z otrąb. Plamy

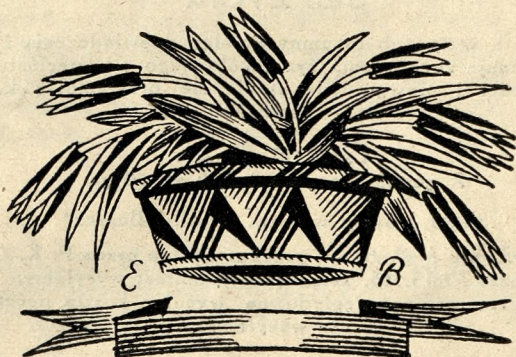
tłuste i brudne na aksamicie trzeba wytrzeć gałganikiem, zmoczonym benzyną, podłożywszy pod spód kawałek moltonu, albo posypać piaskiem rzecznym, zwilżonym również benzyną, który po wyschnięciu zrzucić, a aksamit oczyścić szczotką.

Plusz, lub aksamit, zniszczony deszczem, odświeżymy, jeżeli lewą stronę zmoczymy spirytusem i będziemy w powietrzu przeciągać gorącym żelazkiem. Plamy ze smoły na wełnie, lub jedwabiu zasmarować młodem masłem—puszczą odrazu,—poczem czyścić jak zwykle tłuste. Świeże plamy z atramentu puszczą, pranie wodą z mydłem, najlepiej szczotką od paznokci; starsze — wycierać cytryną i dopiero spierać mydłem z wodą. Materiały z długim włosiem, lub aksamit, zaplamione przez dotknięcie świeżo pomalowanych olejno drzwi, natychmiast potrząść spirytusem, albo nawet wodą kolońską; gładkie materiały czyścić benzyną za świeża, zaschnięte plamy z farby olejnej wycierać terpentyną francuską, póki nie puszcza.

Plamy od stearyny namoczyć wodą kolońską, lub eterem octowym tak, aby stearyna dobrze nasiąkła, poczem wykruszać ją szczyrykiem, powtarzając zwilżanie i wykruszanie dopóki zupełnie nie zniknie. Sposób ten nie pozostawia żadnych śladów, podczas gdy prasowanie przez bibułę, chociaż doskonale wyciągnie stearynę, wskutek wyciskania jednego miejsca gorącym żelazem zawsze jest widoczne.

Plamy z wina szampańskiego czyszczą się przez pocieranie ich lodem; z wosku—przez rozgrzanie nad blachą, zeszkrobanie nożem, a w końcu wytarcie spirytusem. Plamy z wilgoci, (zbutwienia) na jasnych jedwabnych materiałach, trzeba doskonale wysuszyć i ostrą szczoteczką delikatnie pleśń oczyścić, a potem zmieszawszy jedną część amonjaku z dwoma częściami wody miękkiej, wycierać czystą gąbką. Wywabiając pleśń z czarnych materyj,—dodać do powyższego płynu trochę atramentu i dalej postępować, jak wyżej wskazane. Po wysuszeniu, przeprasować plamy po lewej stronie.

Jak widzimy, sposobów do wywabiania plam jest bardzo dużo, będą one wkrótce podane w jednym z najbliższych zeszytów „Życia Praktycznego”. Tymczasem, chcąc zadość uczynić licznym pytaniom naszych Czytelniczek, daję, prócz zasadniczych sposobów, przepis na wodę do wywabiania plam, którą każda z pań pod ręką mieć powinna: cztery łyżki salamonjaku zmieszać z czterema łyżkami mocnego spirytusu winnego i jedną łyżką soli kuchennej; za pomocą gąbki wycierać tym płynem tłuste plamy, które trafiają się najczęściej; plamy zaś z dziegciu, smarowidła i smoły, na czemkolwiek zrobione, muszą być przedewszystkiem pociągnięte masłem. Mieszanina salamonjaku i olejku terpentynowego doskonale również wywabia wszelkie tłuste plamy. I. S.





GULASZ Z WINEM

Kilo wołowiny przerastalej (może być od łopaty, lub karku), zbić mocno i pokrajać w grubą kostkę, rozmiaru włoskiego orzecha. Dwadzieścia deka wędzonego boczku pokrajać w cienkie płatki. Dwie duże cebule pokrajać, zasmażyć z boczkiem. Mięso utarzać w mące, położyć na słoninę, zrumienić, wciąż mieszając, aby się nie przypaliło, podlać wodą; dopiero wtedy posolić, dodać trochę pieprzu tłuczonego, na koniec noża czerwonej papryki, (kto lubi, może dodać łyżeczkę kminku). Dusić, aż dobrze zmięknie, wtedy podlać dobrą szklanką wina białego, (może być krajowe). Zagotować parę razy, aż sos zgęstnieje. Powinien być dobrze zawiesisty. Na półmisku ułożyć rant z ugotowanego na sypko ryżu, mięso włożyć w środek, poleć sosem mięso i ryż i podawać gorące. Na gulasz można użyć gorsze kawałki mięsa, nie dające się użyć inaczej.

SOS OSTRY POMIDOROWY (CATSCHAP).

6 kilo pomidorów rozgotować i przefasować przez sito. Dodać do tego 40 deka cukru, pełne cztery szklanki dobrego octu, imbiru utartego dwa deka, goździków 1 deka, kwiatu muskatołowego 5 grm., papryki utłuczonej mały strączek, na koniec noża salety. Smażyć to wszystko razem; po pół godzinie przetrzeć ponownie przez gęste sito, aby korzenie, co grubsze, na niem pozostały. Znow srażyć, aż dobrze zgęstnieje. Ostudzić, przełożyć w nieduże słoiki, lub buteleczki o szerokich szyjach (po Cabulu, Mixed-Pickles'ach i t.p.). Zawiązać pęcherzem, lub zakorkować i zalać parafiną. Przy wysmażaniu pilnie mieszać, aby się nie przypaliło. Sos taki podaje się do zimnych czarnych mięs i zwierzyny.

PIEROŻKI Z KARTOFLAMI

Pół kilo mąki zagnieść z jajkiem, łyżeczką soli i wodą na ciasto wolne, jak na zwykłe pierogi. Przykryć miską, dać poleżeć godzinę. Pół kilo obranych już kartofli ugotować, utłuc dopóki gorące. Dziesięć deka wędzonej słoninki, drobniutko pokrajanej, podsmażać z 10 deka drobno usiekanej cebuli, włożyć do kartofli, dodać parę łyżek śmietany, lub mleka, aby masa nie była zbyt twarda, posolić do smaku, popieprzyć nieco, dać wystygnąć. Ciasto rozwałkować jaknajcieniej, robić nieduże pierożki, nadziewając je

masą kartoflaną, dobrze uciskać brzegi. Wrzucać na osoloną wrzącą wodę, gotować 3 minuty, odcedzić. Tymczasem podsmażyć drugie dziesięć deka drobno pokrajanej wędzonej słoniny i poleć nią ułożone na salaterce pierożki. Podawać gorące.

Bardzo smaczna ludowa, litewska potrawa, którą na miejscu robią, używając zamiast pszennej, żytniej pytlowanej mąki; z pszennej są jednak smaczniejsze.

RYŻ KARMELIZOWANY

Przygotować gładki, niegłęboki rondel z pokrywą, któryby można było wstawić do innego, większego rondla. Ugotować na mleku dużą szklankę ryżu, wymieszać z pół szklanką cukru i dwoma całymi jajami, aromatyzować kawałkiem utłuczonej z cukrem wanilji. 10 deka cukru w kawałkach zrumienić lekko na patelni; gdy ma kolor jasno-brunatny, wlać cztery łyżki wody i rozpuścić w niej karmel. Tym karmelem wylać równo przygotowany rondel, lub formę, włożyć masę ryżową, przykryć pokrywą, wstawić w drugi rondel z wodą, która powinna dochodzić do połowy formy, i gotować około czterdziestu minut. Z dwóch żółtek, dwóch szklanek mleka i pół szklanki cukru, utłuczonego z kawałkiem wanilji, przyrządzić sos zaciągany i trzymać go z rondelkiem w gorącej wodzie (au bain-marie), aby nie ostygł. Ryż wyjąć z rondla i natychmiast wyrzucić z formy na półmisek, bo karmel stwardnieje i ryż nie wypadnie. Do rondla wlać sos waniljowy, wymieszać z resztą karmelu dla nadania koloru i właściwego smaku i podać w sosjerce do gorącego budyniu.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Dla usunięcia tłustej plamy z marmuru, alabastru i gipsu trzeba zrobić rodzaj ciasta z palonej magnezji i benzyny i rozciągnąć je na splamionem miejscu, zostawiając aż do całkowitego wyschnięcia. Jeżeli plama odrazu nie zniknie, powtórzyć to działanie, a następnie zmyć delikatnie wodą oczyszczone miejsce.

* * *

Plamy z atramentu na podłodze bardzo trudno się zmywają; najlepiej najprzód wytrzeć splamione miejsce suchym piaskiem rzečním, następnie polewać mieszaniną jednego łuta witrjolu z ośmiu łutami wody miękkiej, a kiedy plamy znikną, wyszorować te miejsca ługiem, lub czystą wodą z mydłem. Świeże plamy z atramentu można też nacierać przekrajaną cytryną, następnie zmywać wodą z mydłem. Na posadzce najlepiej wyskrobać poplamione miejsca wiórkami, lub, w braku tychże, papierem szmerglowym.

Dr. med. J. ŚWITALSKA

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH I KOSMETYCE LECZNICZEJ CODZIENNIE OD 5 DO 7.

KRUCZA 31, M. 3.

KORESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu”. Redakcja „Bluszczu” zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu”. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Pani o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniem.

Pani J. P. Łysica Wielka. Jeżeli kolor wygryziony, to nie mu nie pomoże; w przeciwnym razie można spróbować wyczyścić eterem, a może uprać całą w rozgotowanym, zupełnie ostudzonym marsylskim mydle? Glansowana skórka nie da farbować się w domu, dlatego radziłabym oddać do rękawicznika; może wystarczy uprać w benzynie?

Długoletniej prenumeratorki. Niech Sz. Pani zwróci się do Min. Oświaty (dział szkolnictwa), może da się umieścić panienkę w której z burs; można też ogłosić w „Kurjerze Warszawskim”; chociaż bursa byłaby lepsza.

Pani J. G. Poznań. Plamy ze smoły wywabia się zapomocą posmarowania cienko młodem masłem, od którego puszcza od razu; następnie pozostałą tłustą plamę wyprać mydłem płynnym, rozpuszczonym w salamonjaku, którym smarować splamione miejsce i zaraz zmywać letnią wodą. Stosuje się mydło płynne tylko do czarnej i ciemnej wełny; inne, jaśniejsze kolory trzeba czyścić benzyną, lub eterem.

Białe, naturalne futra, jak baranki, prać w wolnym mydle w sposób następujący: Rozgotować drobno ustrugane mydło (najlepszy gatunek), biorąc 25 deka na 12 litrów wody, poczem przedzić przez płótno. W tym płynie prać białe futra nie trąc, tylko wyciskając, często zmieniając wodę, dopóki zupełnie czysta nie będzie; w końcu wypłókać w miękkiej wodzie. Suszyć rozłożone na powietrzu, a kiedy będą prawie suche, posypać pudrem, czyścić i trzepać miękką, skórzaną trzepaczką, a będą białe, jak nowe.

Pani W. M. Nowo-Malina. Dwie czubate łyżki mydła „Lux” rozbić doskonale w ukropie, zostawić, aż ostygnie; rozbić potrochu przegotowaną, zaledwie letnią wodą; prać, nie trąc, tylko wyciskając, przyciem należy często zmieniać wodę, dopóki zupełnie czysta nie będzie. Wtedy chustkę, nie wyżymając, wycisnąć lekko z wody i rozłożyć na stole na miękkim, wełnianym pledzie. Jak pierwsza wilgoć wsiąknie, ułożyć chustkę na czystym prześcieradle, nakryć drugim i zostawić w spokoju do kompletnego wyschnięcia. Jeżeli wełna była w dobrym gatunku, chustka będzie, jak nowa.

Energicznej prenumeratorki „Bluszczu”. Myśl Pani jest doskonała. Gdynia rozwija się tak szybko, że każdy, byle dobrze poprowadzony, interes pójdzie tam bezwzględnie. Plac kupić można — tylko dziś już po dość wysokiej cenie. Kredyty budowlane przyznawane są w wysokości 70% od kosztorysu, przez Bank Gospodarstwa Krajowego naturalnie, za odpowiednimi staraniami i podaniami, o których Sz. Panią w Banku poinformują.

Mazowszance. Pytania, zawarte w liście Pani, są tak dyskretne i intymnej natury, że zupełnie nie nadają się do umieszczenia na otwartych łamach „Bluszczu”.

Koninianie M. Porada na wzmocnienie włosów będzie wysłana natychmiast po otrzymaniu adresu Sz. Pani. Skierowywać zapytania z dziedziny kosmetyki dla uniknięcia zwłoki wprost: ul. Krucza 31 m. 3: — wykwinne kosmetyki.

Do czytelniczek. Wszelkie porady z dziedziny kosmetyki będą umieszczane wyłącznie dla prenumeratorek: prosimy o podawanie dokładnych adresów. Zamówienia wszelkie kierować: Krucza 31 m. 3. Wykwinne kosmetyki.

Japonijka. Wszelkie choroby kobiece, jak zaburzenia w menstruacji, muszą być zbadane i leczone przez lekarza-ginekologa, gdyż w przeciwnym razie mogą spowodować przykre następstwa. Proszę przeczytać art. „O krwawieniach” dr. med. Giżyckiego w „Kulturze Ciała” nr. 3, wyd. „Bluszczu”.

UWAGA: Kroje umieszczonych modeli, w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dzieciinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU”

INFORMACJE TELEFONICZNE

DO G. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. TEL. 273-34.

„Pędzenie roślin w pokoju”

SPOSÓB WYHODOWANIA W POKOJU KWIT-
NĄCYCH HIACYNTOŃ, TULIPANÓW I T. P.

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”. War-
szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności
przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.